№ 49 Warszawa, dnia 27 Listopada (9 Grudnia) 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1883 **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . **rs. 1 k. 25.**
Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . . **rs. 5.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3**.

„PAN TADEUSZ“

W ILLUSTRACYACH ANDRIOLLEGO

Podając obszerniejszy rozbiór dzieła pierwszorzędnego polskiego illustratora, nie wiemy czyli trzeba czyn ten uzasadnić lub usprawiedliwić. Karton, odtwarzający wielkie myśli poety, nie przestaje być dziełem sztuki dlatego, że podejmuje myśl innego geniuszu, a nie własną. Uznawali to dawniejsi, uznają i obecni estetycy. Dość przytoczyć tu jako przykład Laokoona, który w słowie i rzeźbie równem jest arcydziełem, a dał znakomitemi Lessingowi pochop do porównawczego studyum estetycznego.

Illustracya nie dopełnia wprawdzie dzieła, gdzież dzieło geniuszu dopełnienia nie potrzebuje, lecz przetwarza je w inne kształty, przystępniejsze dla oka. To co poeta wypowiada słowami, to artysta malarz lub rysownik ubiera w kształty wyraźne, dramatyzuje konturami, ożywia cieniem i światłem i tworzy w ten sposób prawdziwe dzieło sztuki. Tak więc dzieło, wielkie samo przez się zyskuje jeszcze to, że przemawia do wyobraźni za pomocą aż dwóch zmysłów: słuchu i wzroku. Wrażenie ztąd wynikłe musi być dla ogółu bez wątpienia silniejsze.

Illustracye poematów dziś dopiero zaczynają się bardziej rozpowszechniać, znajdując z jednej strony więcej artystów, podejmujących się tej pracy, a z drugiej strony znowu, szerzy się w czytającej a wykształconej publiczności coraz więcej zamiłowania do dzieł tego rodzaju.

Powiedzieliśmy „poematów” dlatego, że nie uważamy za stosowne i na nazwę dzieła sztuki zasługujące illustrowanie dzieł o treści poziomej. Tylko dzieła wielkie, choćby zewnętrzną formą nie podciągnięte pod kategorye poezyi, godne są illustrowania i wielkich znajdują illustratorów. Dość tu wspomnieć głośnego dziś w całym świecie francuzkiego illustratora, Gustawa Doré, znakomitego twórcę *Biblii*.

Lecz i myśmy za obcymi nie pozostali w tyle. Sztuka u nas kwitnie w obecnej epoce bardzo, a rysownictwo, postawione przez Grottgera na pierwszorzędnej wysokości, rozwija się coraz bardziej. Pierwszorzędną siłą na tem polu jest *Andriolli*.

O jego to dziele najnowszem, o illustracyach do „Pana Tadeusza” chcemy tu powiedzieć słów kilka.

„Pan Tadeusz” jako epopea, odznacza się już sam przez się taką plastycznością, że mimowoli nasuwa myśl illustrowania. Nie trzeba tu się silić na wymyślenie, w jaki sposób ten, lub ów moment oddać ołówkiem. Poeta tak wszystko jasno wyrysował słowem, że słowo każde niemal samo się przed oczyma naszemi modeluje, przybiera w żywe kształty. Plastyka wielka w sytuacyach nie da się zaprzeczyć. Lecz istnieje ona także w charakterach. Typy i wszystkie poboczne postacie, są tam tak dokładnie określone, że tylko brać ołówek czy pędzel do ręki i przenosić na karton to, co poeta opisuje. To więc jest strona ułatwiająca znacznie wykonanie illustracyi.

Ależ nie godzi się zapomnieć o stronie drugiej, ważniejszej może dla rysownika artysty. Oto poemat tak piękną odznacza się obrazowością, tyle wiecznie żywej ma w sobie poezyi, tyle zaś bije natchnienia, że nadzwyczaj silnie musi działać na umysł artysty i twórczość pobudzać. Kiedy się czyta cudne opisy czy scen, czy przyrody, chwyta się mimowoli za ołówek i rysuje. Tak więc i pod tym względem nie może się illustrator żalić, aby mu brakło zachęty moralnej natchnienia.

Trzeba być tylko artystą, i ocenić to natchnienie, przelać do swej piersi i wykonać ręką to, co siła twórcza dyktuje.

Lecz o ile ta ostatnia okoliczność zapala do rysowania, o tyle nagromadza także trudności. Oto nie możemy inaczej powiedzieć, jak tylko, że potęga poetyczna „Pana Tadeusza” zbyt silnie działa na rysownika, aby ten mógł z nią zawsze iść w parze, wydołać jej. Natchnienie wielkiego poety nie może zawsze dopisać illustratorowi. Ztądto nie jedną widzieliśmy dotąd nieudałą illustracyą dla „Pana Tadeusza”, bo poezya artystę porywała, ale siły jego nie mogły jej sprostać.

Andriolli był ze wszystkich illustratorów najszczęśliwszym. Raz, że inni dotąd tylko poszczególne sceny illustrowali, on zaś wykonał całość, powtóre, że jego kartony najlepiej licują z dziełem wielkiego naszego poety.

Powiedzieliśmy już, że sytuacya i opisy okolic i przyrody same się malują, w tym więc kierunku nie mógł rysownik wiele zdziałać. Trzeba było tylko ołówkiem wykonać to, co poeta opisał, a rzecz skończona. Naturalnie, że i w tej regule dadzą się zastosować gdzieniegdzie wyjątki, w których trzeba było odstąpić, bo nigdzie znowu poemat nie może rysownika *niewolić*. Być *wiernym* a *niewolnikiem*, toż przecie wielka różnica.

To też wcale nie gniewamy się na artystę za to, że np. scenę, w której gajowy zwiastuje nowinę o zjawieniu się niedźwiedzia, zmienił nieco i od słów poety odstąpił. W poemacie goście siedzą przy stole, bo to pora była obiadowa — tu Andriolli wysunął wszystkich naprzód tak, że stołu ani znać, wszyscy stoją, bo nawet zdają się iść naprzeciw zwiastuna tak pożądanej nowiny. Dla rysownika to wygodniej, bo daje sposobność lepszego uwydatnienia wrażenia, które u każdego człowieka, cóż dopiero u myśliwych objawia się w postawie, gestykulacyi, a nie jedynie na twarzy. Więc to nie błąd wcale.

Lecz zato pierwsze poznanie się Tadeusza z Zosią wypadło wcale niepomyślnie. Jużto ta Zosia nie miała szczęścia u rysowników. Kto tylko usiłował przedstawić ją bądź w tej scenie, bądź wtedy, gdy karmi ptactwo, wpadał w błędy nie do darowania i żadną miarą nie mógł się dostroić do wysokości poematu Mickiewicza. Jego Zosia tchnie prostotą i wiejską poezyą — w rysunkach jest to zawsze jakaś naprężona, przesadna sielanka. Najwięcej tu zawsze zawiniły papiloty, które w poemacie tyle dodają wdzięku, w rysunku zawsze szpecą.

Zosia Andriollego w tym pierwszym kartonie jest w całem tego znaczeniu chybioną. Ani sytuacya, ani samaż postać nie licują z poematem. Te fatalne papiloty zepsuły harmonię całości, a wdzięku nie dodały ani odrobiny.

Następne kartony o całe niebo wyższe, lepsze. Zosia, choć ją artysta jeszcze kilka razy odtwarza, już nigdy nie ma tych wad, które widzieliśmy na wstępie. Dobrą jest w scenie z dziećmi, lepszą jeszcze tam gdzie ją stroją w obecności Telimeny, a już najlepszą u boku Tadeusza, który prześlicznie wygląda w stroju ułańskim.

Jeżeli wykazaliśmy błędy w rycinie pierwszej, co do Zosi, to musimy tu zaraz dodać, że pierwsze kartony wogóle są słabe. Później dopiero stają na wysokości poematu. Lecz niezupełnie tu wina Andriollego. Pierwsze ryciny zostały słabo wykonane na drzewie. A jeśli dodamy, że niektóre z nich wykonano za granicą, czynimy to dlatego, iż chcemy przyznać należną zasługę naszym drzeworytnikom, których praca o wiele lepszą od zagranicznych na „Panu Tadeuszu” się okazała.

Telimena, siedząca w *Świątyni dumania* i rozmawiająca z sędzią nienajlepiej też wypadła, brzydka i nieprzyjemna jakaś, a przecież artysta w innych kartonach piękną ją uczynił.

Otóż i koniec charakterów kobiecych.

W męzkich—był Andriolli o wiele szczęśliwszy. Jego Tadeusz jest takim zupełnie, jakim go natchniony poeta wyśnił. Zawsze i wszędzie dzielny, a już w stroju ułańskim, przy boku pięknej Zosi, jest typem piękna męzkiego.

Hrabię owiał Andriolli tą romantycznością, którą go i poeta otoczył. Romatyczność przechodzi często w exaltacyą i chęć pozowania. Artysta umiał to wszystko oddać doskonale, nie popadając nigdy w przesadę.

Sędzia, podkomorzy i inni goście są rysowani typowo, lecz nic w nich nadzwyczajnego. Zato występują postacie: Serwacego, Protazego, Księdza Robaka i Maćka w całej okazałości, w pełnym blasku artystycznej twórczości. Typy to tak skończone, doskonałe, że nie możemy im nic a nic zarzucić. Każdy z nich nosi na sobie znamię indywidualności, a artyście zaszczyt przynosi niemały.

Serwacego widzimi najpierw z Hrabią na krużganku starego zamku Horeszków, kiedy mówi:

„Nie masz zgody, mospanku, pomiędzy Soplicą,
„I krwią Horeszków.”

Po raz drugi występuje w całej okazałości w zaścianku Dobrzyńskim. Dalej widzimy go z założonemi rękoma, gdy się przysłuchuje naradom po katastrofie w Soplicowie, a wreszcie kiedy z Protazym siedzi i spijając miodek gawędzi. We wszystkich tych momentach inne uczucie maluje się na jego obliczu, a zawsze jest to ten sam Gerwazy Mickiewicza, z krwi i kości ten sam. Kreacya to pyszna.

Albo Protazy, kiedy czyta pozew na zamku Horeszków. Jaki to doskonały typ ostatniego woźnego trybunału. Lub kiedy w pośród walki w zamku czyta nieprzerwanie i z nieustraszonym spokojem. A znowu inny z Gerwazym przy miodku.

Ksiądz Robak często się przez ciąg poematu przewija. Zawsze umiał go artysta uczynić doskonałym charakterem dramatycznym, choć zawsze musiał oblicze stosować do sukni zakonnej.

Maciek, typ piękny starca, widoczny w całej pełni, gdy rano w swej zagrodzie karmi króliki. Rysunek to tak piękny, że mu się dość napatrzeć nie można.

Do najlepszych rycin należą bez wątpienia:

Hrabia z Gerwazym na krużganku przy nocnem oświetleniu księżyca.

Protazy w zamku sam.

Maciek z królikami.

Gerwazy w zaścianku ze scyzorykiem.

Sędzia z Robakiem, gdy tenże mu się zwierza, iż jest jego bratem.

Koncert Jankiela.

Tadeusz z Zosią w ogrodzie.

Scena przy wieczerzy w zamku.

Bitwa.

Narady z Rykowem.

Opowiadanie Robaka w karczmie o Napoleonie.

Polowanie.

Oprócz kartonów wielkich, jest jeszcze mnóstwo mniejszych rycin w tekście, a inicyały są prześliczne. W całości znać artystę, poetę i rysownika nadzwyczaj biegłego, dla którego światło i cień są nieprzebranym materyałem do coraz to nowych a pięknych kreacyi.

Żeśmy nie pominęli usterek, to nic dziwnego, bez tych nie może się obyć żadne dzieło. Lecz zalet tak wogóle wiele, że o usterkach łatwo zapomnieć.

Całość jest w wysokiem znaczeniu tego wyrazu przepyszna, wieczna. Dziś ozdoba salonów—nazawsze chlubne świadectwo rozkwitu sztuki u nas w obecnej dobie.

E. Zorjan.

UPADŁY.

(Fragmenta poematu.)

I.

Czemu mi smutno?... czy że nić żywota
Snuć muszę wespół z troskami dziennemi,
Że za pałace mam kącik wilgotny,
Że nie mam tyle, ile trzeba złota,
Aby się w brudach nie nurzać tej ziemi
I żyć z swą myślą dumny i samotny?

Czemu mi smutno? — o dziecię ja dziecię, —
I czemu tak się każdej boję walki? —
Wszak pieśń prawdziwa w bólu się poczyna,
Ból ją przetwarza na płomień Westalki —
I tylko taka pieśń rozbrzmi po świecie,
Kiedy nadejdzie po temu godzina.

Prawda... za chwiejne są duchy pieśniarzy,
Nie każdy przetrwa tę próbę ogniową,
Inny się w swojej fantazyi rozmarzy,
A kiedy życie wszystkiego nie ziści, —
On na świat cały rzuci wzgardy słowo
I sam się strawi jadem nienawiści...

A inne... serce szlachetniej bijące —
Wszystkim przebaczy, choć smutno mu będzie,
Że oprócz niego tyle biednych wkoło,
Wszystko pożegna i kwiaty i słońce —
I w noc majową na zielonej grzędzie
Roztrzaska kulą, białe, dumne czoło.

. . . .

Smutno mi smutno... chłód wyziębił łono
I przepaść nęci... widać kres już blizki, —
Cisnę pod nogi żądz płonnych koroną,
Co mnie łudziły od samej kołyski, —
A że bez pragnień ja żyć nie mam siły —
Legnę do chłodnej, przestronnej mogiły.

Prędko się prędko ona zazieleni, —
Nadejdzie lato. . może z soków ciała —
Kwiat wychuchany snopami promieni
Wypęknie jaki... może lilia biała,
A może jaka niezabudka mała,
Śród traw przekwitnie... do samej jesieni...

I już po wszystkiem!... w przyrodę wszczepiony —
Część siebie oddam kwiatom z nad mogiły,
Część oddam brzozie, smutno pochylonej
I będą one soki moje piły, —
Aż się zupełnie zmieszam z ziemi bryłą,
A czas iść będzie... jakby nic nie było...

Słońce żadnego błysku nie uroni, —
I noc majowa nie będzie smutniejsza, —
I nie mniej będzie na bławatach woni,

I nie zamilkną słowiki z żałości, —
I nie przestanie z pięknych najpiękniejsza,
Nucić i marzyć o ludzkiej miłości...

I gdzież sarkofag ciosany z kamienia,
Co miał potomnym me imię przechować?...
Gdzież pieśń, co w żyłach ludu przetrwać miała
Wieki i spoić bratnie pokolenia,
I gdzież ta moja niewinna i biała,
Co miała oczy umarłe całować?...

Wszystko zawiodło!... Jak bańka mydlana —
Świat chwilę nęcił złudnemi barwami —
Upajał blaskiem, obiecywał tyle —
Aż przyszło wszystko w jedną smutną chwilę —
I jasna tęcza na barwy złamana —
Ulotniła się — i opadła łzami...

I tylko czasem na wspomnień mogile,
Niby ułudnej błysk fata-morgany, —
Wybiegał promyk — i wpadał do oczu
I dziwną piersi napełniał rzewnością,
Jak cień, o świcie lat wykołysanej
Nadziei, — wielkiej wiarą i miłością...

. . . .

A ty, królewno w błękitnem przezroczu, —
Pani eteru, gwiazd, słońc i tej ziemi, —
Poezyo! — żal mam największy do ciebie; —
Tyś, co mi chciała między wybranemi
Dać miejsce, dźwięki ukołysać swemi, —
Czy choć zapłaczesz na moim pogrzebie? —

Tą łzą rzeźbioną, tą łzą kryształową,
Potęgą pieśni z boleści i gromów
Zrodzonej — groźnej harmonią chłodu,
Ściętej w gotyckie ostrołuki lodu,
Co już się z źródłem nie spotka nanowo,
Jak posąg z skalnych wyciosany łomów...

Pani ty moja! — pocoś mnie wybrała? —
Nie czuła-żeś ty, że nie miałbym mocy
Pomiatać sobą, jak dzieckiem szalonem,
Własnego szczęścia być czarnym demonem,
Że pieśń ma, niby słońc powłoka biała —
Nie może sztucznem światłem błyszczeć w nocy?...

Nie! — ja pod inną gwiazdą urodzony —
Wysnułbym może kilka fantazmatów,
I tłum pociągnął za swoim rydwanem,
I o krok jeden wielki pochód światów
Przyśpieszył, — i był tętn narodu panem, —
I na sarkofak zasłużył rzeźbiony...

Lecz dziś... istnienie moje — antyteza
Twórczości własnej i własnego ducha, —
Dziś — chciałbym tylko... *Requiem* Pergoleza, —
Ale niech silnie i namiętnie jęczy,
By mi na pamięć przyszły dawne lata...

Raz, raz ostatni — niech *requiem* rozdmucha
Tętna, co biły dla ludzi i świata...
Raz, raz ostatni brylantowej tęczy,
Złamane blaski w świetności pierwotnej —
Niech odbuduje jaki anioł biały,
Bym chwilę tylko, chwili błysk ulotny —
Ujrzał nadziei grób zmartwych powstałej!...

. . . .

Niegdyś — pamiętam — pogardzałem tymi,
Których pieśń łzami i bólem brzemienna,
We własnem „ja” się zasklepiała, ziemi
Nie dotykając, jak fantazya senna, —
Dla których tłum był czernią i motłochem,
Dla których świat był bezsłonecznym lochem...

I dałem sobie—w jedną noc majową,
Pamiętam... piękną, jak oto — dzisiejsza,
Za świadków wziąwszy wszystkie gwiazdy — słowo,
Że pieśń ma będzie czystsza i wźnioślejsza,
Że stojąc wieki w nietykalnej zbroi. —
Balsamem będzie, co zbolałych koi...

Dziś — chociaż tłumu kochać nie przestałem
I wszystkie grzechy przebaczyłbym jemu, —
Ach! — pomiatanie nawet ideałam,
Zato, że cierpi i walczy — bez końca...
Dziś, — choć świat dla mnie piękny podawnemu,
I skaz nie widzę u gwiazd ni u słońca.

Ale — dostrajać do harmonii struny
I wyśpiewywać ludzkości sonaty, —
I wierzyć w kogoś... i walczyć... i żądać...
Nie mnie!... ja tylko zbudziłbym pioruny,
I rozbuszował lazurowe światy,
By śmierci w prądów tajemnic wyglądać!...

. . . .

Nie! — jam samolub i cóż-bo mi z tego,
By moje imię potomność czcić miała?...
Prawda... ja ginę, — alem nie ostatni, —
Przyjdzie ktoś, choćby z plemienia obcego,
Ale mnie duchem pokrewny i bratni,
I zwalczy wszystkie ułomności ciała...

Ja zmartwychwstanę, — choć może nie w jednym,
Po cząstce w każdym wieszczu, co się zrodzi, —
I co wywalczy wieniec... zmartwychwstanę!...
I ja przez innych — będę śpiewał biednym
Zwątpionym, że już lepsze słońce wschodzi,
I byle chcieli — cały świat odrodzi...

I moja gwiazda na gwiazdy świetlane
Rozbita — blaskiem zbiorowym zapłonie,
Jak morska wyspa, zrodzona z korali...

. . . .

Imię. . to przesąd! cóż imię po zgonie?...
Cóż, że ten, nie ów listek na kalinie
Wzrośnie, że inny listek żar wypali,
A inny z prądem daleko odpłynie?...

. . . .

A więc skończono!... postawiłem biały,
Owity w dzikiej latorośli wianki,
Grób dla mych pieśni i dla mojej chwały, —
Niech inni wchodzą w porzucone szranki
Walczyć o względy — poezyi — kochanki!

. . . .

(*D. n.*)

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Zdziwiony tem spotkaniem, byłbym chętnie poszedł do niego, gdyby mi było wypadało pozostawić mą pupilkę w gronie męzkiem samą jedną. Skrępowany zatem obowiązkami opiekuna, musiałem pozostać na miejscu, poprzestając na towarzystwie ludzi obcych, nic mnie nie obchodzących i niesympatycznych dla mnie wcale.

Kiedy od Mirskiego odwróciłem się znowu w stronę Kseni, spostrzegłem, że rumieńce zeszły już zupełnie z jej twarzy, którą teraz przeciwnie pokryła bladość niezwykła. Pomimo to dziewczyna siedziała już zupełnie spokojna i z swobodnym uśmiechem odpowiadała coś baronowi von Launitz, którego ryże wielkie bakobrody odbijające efektownie od błękitnego, suto srebrem szamerowanego munduru, zwracały uwagę całej publiczności. Wkrótce spostrzegłem, że Ksenia popadła w wesołość jakąś nienaturalną. Poczęła mówić więcej jeszcze niż przedtem, śmiać się głośniej, poruszała wachlarzem nieustannie i widocznie nie mogła spokojnie usiedzieć ani minuty. Kiedy dotknąłem jej dłoni, sparzyłem się prawie, tak była rozpaloną i wogóle czyniła na mnie smutne wrażenie osoby chorej pozostającej w silnej gorączce, a silącej się aby okazać się wesołą i swobodną.

Kilka razy zapytałem ją: czy nie czuje się chorą i czy nie wolałaby powrócić już do domu? Odpowiedziała mi śmiejąc się, że jest najzdrowszą i że pragnie właśnie posłyszeć śpiew jakiś młodej Tyrolki, który ma koncert zakończyć.

Jeszcze atoli koncert nie doszedł końca, gdy zobaczyłem, że humor jej szalony, zwolna poczyna ją opuszczać, że z coraz większem roztargnieniem słuchała mówiących do niej i odpowiadając im prawie nieprzytomnie, stawała się coraz poważniejszą, cichszą, bledszą, kiedy zaś Tyrolka w wysokim kapeluszu wystąpiła na estradę, moja biedna dziewczynka wyglądała już jak ktoś po ciężkich wysiłkach znużony śmiertelnie. Blada i smutna, z twarzą ukrytą do połowy po za czarnym wachlarzem, oparta o poręcz krzesła siedziała ze spuszczonemi oczyma, słuchając oryginalnej melodyi, która, jak mówiła, przypominała jej do pewnego stopnia kozaczą, ukraińską nutę, starała się nie patrzeć w tę stronę, gdzie na środku sali, w jasnem oświetleniu gazowego świecznika, rysowała się odwrócona profilem, spokojna, szlachetna twarz Mirskiego.

Skoro tylko ostatnie tony pieśni przebrzmiały i jeszcze oklaski liczne nagradzały młodziuchną śpiewaczkę, podałem ramię Kseni i pożegnawszy nasze wesołe towarzystwo, najpierwsi wyszliśmy z koncertowej sali.

Na dworze było cudownie. Pyszna noc majowa, spokojna, cicha, rozciągnęła nad gwarnem miastem namiot ciemny, usiany miliardami migoczących świateł. Księżyc pełny, blady i rozjaśniony, niby uśmiechnięty, przeglądał się w drżących falach Elby, po której oświetlone łodzie i statki przepływały we wszystkich kierunkach. Gdyśmy zeszli z pierwszego wyniesienia tarasu, Ksenia zatrzymała się, wysunęła rękę z pod mego ramienia i oparłszy się na żelaznej balustradzie, zapatrzyła się w oświetlone łagodnem światłem fale rzeki. Stanąłem obok niej i z przyjemnością spojrzałem na cudny nocny widok roztaczający się przed memi oczami.

Staliśmy tak oboje, długo bardzo. Gwarna publiczność rozchodząca się do domów po skończonym koncercie, wymijała nas zwolna. Pary za parami przesuwały się obok nas jak w panoramie, przed chwilą ożywiony i gwarny taras stawał się coraz pustszym, a moja Ukrainka otulona białym szalem, oparta, zwieszona prawie po nad wodą, na żelaznej poręczy, stała ciągle bez

ruchu, zapatrzona w drobne, migoczące fale, w których promienie księżyca łamały się jak w kryształowych pryzmatach w drobne, świetne iskierki.

— Co tam pani widzisz? — zapytał nagle z boku głos łagodny, po którym odrazu poznałem Mirskiego.

Dziewczyna nie poruszyła się wcale i nie spojrzała na niego, choć stanął tuż obok i oparł się przy niej o balustradę.

— Widzę tam otchłań srebrzystą i jasną, pod którą na dnie, musi być łoże miękkie, chłodne, spokojne, na którem dobrze być musi położyć się człowiekowi zmęczonemu — odparła z zadumą, nie odrywając oczu od wody.

Mirski ujął ją za rękę i odciągnął lekko od balustrady.

— Więc nie patrz tam pani — rzekł łagodnie i poważnie. — Niewolno myśléć o spoczynku, gdy się jeszcze daleką drogę ma przed sobą.

— Po cóż iść dalej? — spytała posępnie.

— Po to, aby nie stać w miejscu i nie pozwolić okolicznościom zapanować nad sobą. Tchórze tylko cofają się przed pierwszą zaporą, jaka stanęła na ich drodze. Obowiązkiem jest iść nie cofając się przed żadną przeszkodą, zwalczyć je wszystkie, przecież to godne człowieka.

Ksenia potrząsła głową.

— Nie mam do tego ani sił, ani woli — odparła głosem znużonym ciężko.

— Oh! — uśmiechnął się łagodnie Mirski — jesteś pani jak dziecko, które wyszedłszy z domu, uderzyło się o kamień leżący w progu i woła z płaczem: już nie pójdę dalej.

— Iść i iść, po to tylko aby walczyć, aby na każdym kroku ranić się, cierpiéć... czyż to warto?

— Warto pani — odparł jej Stefan prawie surowo. — Panno Kseniu, mówię do pani seryo i chcę abyś mnie zrozumiała, jak kobieta rozumna. Życie danem jest człowiekowi nie jako ciężar i klątwa, ale jako błogosławieństwo i dar najwyższy. Takiem przecież staje się ono dopiero wtenczas, gdy jest szczęśliwem. Do szczęścia też człowiek dążyć powinien całą siłą, gdyż inaczej zmarnuje dary jakie otrzymał z góry. Nie wierz pani w fatalistyczne jakieś skazywanie człowieka na walki i cierpienia. Opatrzność nie jest prześladowczynią i nie wymaga od ludzi aby cierpieli. Są wprawdzie bóle i troski, które nas ranią nielitośnie, ale to są rzeczy ludzkie które tworzymy sobie sami albo odbieramy je od ludzi drugich a takie zawsze zwalczyć się dają i usunąć. Bywają one większe i mniejsze, spotykamy często na drodze naszej zapory, których niepodobna przejść bez trudu, wtenczas rzucić się trzeba na nie, walczyć z niemi, trzeba się drapać przez nie, kalecząc sobie choćby ręce, raniąc piersi i lejąc znój krwawy. Przy takich przeszkodach, padają tylko ludzie słabi. Ale bywają także zawady o które rozbijamy się z własnej winy. Panno Kseniu, ten ostry kamień, który odrazu napotkałaś na początku swej drogi i o który zraniłaś się tak głęboko, to nie była przecież zawada, którejbyś ominąć nie mogła. Któż winien ci, że zamiast przypatrzeć mu się uważnie i obejść go zdaleka, wpadłaś na niego nieostrożnie, podczas gdy tuż obok miałaś do przejścia drogę wolną, wygodną i bezpieczną? Pomyśl pani nad tem rozważnie i odpowiedź mi szczerze, jak osądzisz sama.

Ksenia stała długą chwilę, zamyślona i milcząca.

— Zawiniłam sama, tak, sama zawiniłam! — odparła po chwili z prostotą podnosząc na niego wielkie smutne oczy.

Mirski ujął jej obie rączki w swoje dłonie.

— O moja śliczna rusałko jasnowłosa — rzekł łagodnym tkliwym głosem, patrząc na nią ze spokojnem, głębokiem rozradowaniem. Jesteś bardzo sprawiedliwą i rozumną kobietą i nie posiadasz pychy ani trocha, kiedy masz odwagę przyznać się do własnej winy i wiesz gdzie ona leży i co czynić aby ją naprawić. Z temi cnotami, ostrzeżona raz bolesnem doświadczeniem, możesz śmiało ruszać w dalszą drogę, będąc przekonaną, że nie weźmiesz już nigdy fałszywego liczmana za szczere złoto, że nie dasz się uwieść żadnym fałszywym blaskom i ustrzeżesz się od rozbicia zawsze i wszędzie.

Ukrainka patrzała na niego, pozostawiając obie rączki spokojnie w jego dłoniach.

— A jeśli pójdę dalej, jeśli pójdę ciągle wytrwale i cierpliwie, to dokądże wyjdę nakoniec? — zapytała z największą powagą.

— Do szczęścia! — odparł Stefan zniżonym lekko głosem.

Stali tak oboje chwilę długą, w blaskach księżyca, trzymając się za ręce.

— A teraz — ozwał się znowu Mirski — nie pozostawaj tu pani ani chwili dłużej w Dreznie. Jesteś istotnie zmęczoną i potrzebujesz wypoczynku. To życie sztuczne, którego szukałaś na obczyźnie, aby zgłuszyć swą rozpacz, nie może zadowolnić twej zdrowej, czystej natury i trawisz się w niem tylko. Wymyśl sobie jaką inną, cichą, spokojną ustroń, gdziebyś mogła odetchnąć i uspokoić się ostatecznie. Wiem dobrze, gdziebym wysłał panią — dodał z uśmiechem łagodnym, patrząc na nią — ale nie poddam pani tej myśli, odnajdź ją sama! A teraz dobranoc, przyjdę jutro zapytać panią czy odnalazłaś dla siebie przystań jaką spokojną? Dzisiaj w wieczór, byłaś tak otoczoną, że ani podobna mi było zbliżyć się do ciebie.

Mówiąc to młody człowiek, puścił rączki dziewczęcia, ukłonił jej się nizko i pożegnawszy mnie milczącego świadka całej tej sceny, zamierzał odejść.

Zatrzymałem go ze śmiechem.

— Kiedy tu pan przybyłeś i zkąd się wziąłeś? — zapytałem.

— Przyjechałem wczoraj wieczorem o godzinie siódmej z Wrocławia prosto.

— Więc jechaliśmy razem jednym pociągiem?

— Zdaje się, jeśli przyjechałeś o tej godzinie — odrzekł z uśmiechem schodząc wolnym krokiem z szerokich wschodów tarasu.

Podałem rękę Kseni i jeszcze wolniej udaliśmy się za nim w stronę miasta.

Moja śliczna faworytka szła obok mnie milcząca, ale o ile przy blasku księżyca i płonących latarni dostrzedz mogłem z pogodną, rozjaśnioną twarzą.

Patrzałem na nią z uśmiechem żartobliwym.

— To prawda — rzekłem przekornie — że nienawidzisz pani strasznie tego Mirskiego. Tego doskonałego, tego rozumnego, tego Katona — dodałem naśladując jej poranne uniesienie.

Dziewczyna roześmiała się dźwięcznym metalicznym śmiechem, który przypomniał mi dawną moją wesołą i swobodną, Ksenię. Zaraz przecież spoważniała znowu i szła dalej zamyślona, nie mówiąc słowa.

Dopiero kiedyśmy przeszli plac teatralny i znaleźli się w pomarańczowej alei Zwingeru, zatrzymała się nagle i położyła mi obie dłonie na ramionach.

— Tatku — rzekła słodko — wybieraj się do nowej drogi, z łaski twej szalonej faworytki, którą prawdziwie losy zesłały ci na głowę za twe grzechy. Musisz mnie jeszcze jutro zawieść na step mój Połtawski, do mojego hutoru, do Hordija i Warwary. Ah! — dodała — że ja nie pomyślałam o tem dawniej, że ja zapomniałam o tej cichej oazie, w której istotnie mogłam odnaleźć spokój i spoczynek. Zdaje mi się, że to jest to właśnie, czego on sobie życzy? — zapytała mnie z jasnym uśmiechem, przytulając do mej piersi rozpromienioną twarzyczkę.

Przytuliłem ją gorąco do serca i obiecałem pojechać na kraj świata, jeśli tego do jej szczęścia i spokoju będzie potrzeba.

Kiedy dnia drugiego około jedenastej, Mirski zadzwonił do drzwi naszego mieszkania, zastał nas już pakujących się do drogi w najlepsze a nasza młoda gospodyni, posłyszawszy głos jego w przedpokoju, porzucając kufry i niezliczoną ilość porozrzucanych po krzesłach i stołach drobiazgów, różowa cała i uśmiechnięta, wybiegła sama otworzyć mu drzwi salonu.

(D. c. n.)

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

Kiedy woreczki przechodziły z rąk oficera w ręce pani Scott i miss Percival, proboszcz prezentował Jana obu Amerykankom, ale tak jeszcze był wzruszony, iż prezentacya odbyła się nie według uświęconych reguł. Biedny księżyna o jednej tylko zapomniał rzeczy, rzeczy w każdej jednak prezentacyi koniecznej — zapomniał wymienić nazwisko Jana.

— To Jan, mój syn chrzestny — rzekł on — porucznik w pułku kwaterującym w Souvigny. Jest moim domownikiem.

Jan głęboko się skłonił, Amerykanki odpowiedziały dwoma malutkiemi ukłonami, poczem zaczęły przewracać w swych woreczkach i każda z nich wyjęła po ruloniku tysiącofrankowym, w ładnych futeralikach z wężowej skóry złotą obrączką okutych.

— Weź to ode mnie, księżę proboszczu, dla swoich biednych — mówiła pani Scott.

— A to ode mnie rzekła Bettina.

I obie, ta w rękę prawą, a ta w lewą starego księdza, delikatnie wsunęły swoje ruloniki, a ten spoglądając z kolei na swą prawą, to na lewą rękę, myślał w duchu:

— Co to być może, te dwa małe futeraliki, a jakie ciężkie. W nich musi być chyba złoto.

Miał on siedmdziesiąt dwa lata, poczciwy ksiądz Konstanty i dużo pieniędzy przeszło mu już przez

ręce, to prawda, że nigdy nie zatrzymując się długo, ale te pieniądze dostawały mu się zawsze małemi sumkami, nigdy nawet myśl o podobnym darze przez głowę mu nie przeszła. Dwa tysiące franków! Nigdy dwóch tysięcy franków nie było pod dachem jego probostwa, nigdy i tysiąca.

Nie wiedząc zatem co mu dawano, nie wiedział jak dziękować. Jąkał się tylko:

— Bardzo jestem wdzięczny pani... panno...

Janowi się zdało iż wdanie się jego będzie potrzebnem.

— Mój ojcze, te panie dały ci dwa tysiące franków.

Wtedy dopiero, mocno wzruszony i przejęty wdziecznością, probosz wykrzyknął:

— Dwa tysiące franków dla biednych!

Tu nastąpiło powtórne, nagłe zjawienie się Pauliny.

— Dwa tysiące! dwa tysiące! — zawołała na progu.

— Ha! widać że tak być musi. Słuchaj Paulino, weź te pieniądze, schowaj i pilnuj dobrze.

Niemało na probostwie miała do czynienia ta stara Paulina, była służącą, kucharką, aptekarką, kasyerką. Ręce jej ze drżeniem, przejęciem i uszanowaniem, przyjęły te dwa ruloniki złota, które przedstawiały tyle nędz osłodzonych, tyle pocieszonych boleści.

— To jeszcze nie wszystko, księżę proboszczu — rzekła pani Scott — zobowiązuję się od dziś dawać wam na ten cel pięćset franków co miesiąca.

— I ja tyleż — dodała siostra.

— Tysiąc franków miesięcznie! Ależ tym sposobem wkrótce nie będzie ubogich w okolicy...

— Właśnie tegobyśmy pragnęły. Ja jestem bogatą, bardzo bogatą i siostra także... nawet ona nieco więcej ode mnie... bo młoda dziewczyna na cóżby wydawać mogła?... kiedy ja!... O! ja!... Wydaję ile tylko mogę i gdzie tylko mogę! Bo kiedy się ma wiele pieniędzy, nadto pieniędzy, kiedy się ma więcej niż to jest słusznem, powiedzcie księżę proboszczu, czy aby sobie pozyskać przebaczenie tego bogactwa, nie należy mieć obu rąk zawsze otwartych i dawać, dawać jak najwięcej i jak najlepiej? Zresztą i ksiądz proboszcz dać mi coś musi.

A zwracając się do Pauliny:

— Bardzobym ci była wdzięczna, moja panno, gdybyś mi chciała przynieść szklankę świeżej wody, czystej wody tylko, nic więcej, umieram z pragnienia.

— A ja — odezwała się ze śmiechem Bettina, podczas gdy stara służąca wyszła po wodę — umieram także, ale z czego innego... umieram z głodu... księżę proboszczu... przebacz... bo to bardzo z mej strony niedyskretnie... Ale widzę, że nakryto do obiadu... Czy nie moglibyście i nas zaprosić?

— Bettina!... — z wymówką zawołała pani Scott.

— Daj pokój, cóż w tem złego? Nieprawdaż księżę proboszczu?

Ale staruszek na razie nie znalazł odpowiedzi. Nie wiedział już naprawdę gdzie się znajduje i co się wokoło niego dzieje. Wzięły mu szturmem probostwo, były katoliczkami. Dały mu dwa tysiące franków dla biednych! Przyrzekły po tysiąc franków miesięcznie. I chciały jeść obiad u niego, to już był cios ostatni! Strach go przejął na myśl, że będzie musiał częstować baranią pieczenią i jajami ze śmietaną dwie Amerykanki szalenie bogate, które muszą zapewne żywić się rzeczami nadzwyczajnemi, niebywałemi, nieznanemi, fantastycznemi. Jąkał więc:

— Obiad!... obiad!... panie chcecie być u mnie na obiedzie... u mnie... tu?

Jan uważał za stosowne wdać się w tę sprawę.

— Mój ojciec chrzestny będzie bardzo szczęśliwy, jeśli panie zechcą przyjąć jego obiadek, jedna tylko rzecz trwoży go jak widzę... Obiad był przygotowany dla nas dwóch, więc niech panie nie spodziewają się specyałów... Potrzeba będzie wiele wyrozumiałości...

— O! będziemy wyrozumiałe, będziemy! — odpowiedziała Bettina.

Potem zwracając się do siostry:

— No, moja droga, nie krzywże się na mnie, żem była trochę za... wiesz dobrze żem ja zawsze taka, trochę zanadto.. Zostańmy, proszę cię, wybornie odpoczniemy przepędziwszy tu spokojnie jeszcze z godzinkę. Męczyłyśmy się dzień cały w wagonie, w powozie... w pyle... na słońcu!... Jadłyśmy tak szkaradne śniadanie w tym szkaradnym hotelu! a potem wracać tam jeszcze na obiad o siódmej, ażeby później wsiąść na pociąg, do Paryża... Tutaj zjeść obiad będzie daleko przyjemniej... No i cóż? nie sprzeciwiasz się?... Jakaż ty dobra, moja siostro!

I uściskała siostrę bardzo czule, bardzo serdecznie, a zwracając mowę do księdza dodała:

— Żebyście wiedzieli, księżę proboszczu, jaka ona dobra!

— Bettina! Bettina!

— Prędzej Paulino — rzekł Jan — dawaj dwa nakrycia. Ja ci pomogę.

— I ja także — zawołała Bettina — ja także wam dopomogę. O! proszę, to bardzo mnie zabawi! Tylko niech mi ksiądz proboszcz pozwoli być trochę jak u siebie.

Żywo zrzuciła z siebie nasamprzód płaszczyk i Jan mógł podziwiać w skończonej swej doskonałości, cudowną figurkę pod względem harmonii, wdzięku i zręczności.

Potem miss Percival zerwała z głowy kapelusz, ale zanadto się spiesząc, bo to było hasłem zachwycającej powodzi, cała lawina się zerwała i rozlała się potokami, długiemi kaskadami, po ramionach Bettiny: stała ona wtedy przy oknie, którem pęki promieni słonecznych wpadały... i to złote światło jaskrawo się odbijając w tych złocistych włosach, dziwnie urocze utworzyło ramy dla zachwycającej piękności młodej dziewczyny. Zmieszana i zapłoniona, Bettina musiała wezwać siostrę do pomocy i pani Scott niemało się namęczyła dopóki wśród tego nieporządku jakiś porządek wprowadzić zdołała.

Kiedy katastrofa jako tako została naprawioną, nic nie mogło wstrzymać Bettiny aby się nie rzuciła na talerze, łyżki i widelce.

— Ależ panie — rzekła do Jana — proszę mi nie przeszkadzać, ja wybornie umiem nakrywać do stołu. Zapytaj się pan mojej siostry... Powiedz, jak byłam małą, w New-Yorku, czyżem zawsze nie nakrywała do obiadu i bardzo dobrze?

— Prawda, bardzo dobrze — odpowiedziała p. Scott.

I ona także, prosząc proboszcza ażeby przebaczył żywość i roztrzepanie Bettiny, zdjęła kapelusz i okrycie, tak że po raz drugi Jan ujrzał miłe widowisko zachwycającej figurki i włosów cudownych.

W kilka minut potem, pani Scott, miss Percival, proboszcz i młody oficer zajęli miejsca wokoło małego stolika, potem bardzo szybko dzięki niespodzianemu i oryginalnemu zaznajomieniu, a szczególnie dzięki wesołemu humorowi i trochę amerykańskiej śmiałości ślicznej Bettiny, rozmowa szczery i serdecznie poufały przybrała charakter.

— Przekona się ksiądz proboszcz — mówiła Bettina — czy ja skłamałam mówiąc, że umieram z głodu. Uprzedzam, że nie jeść ale pożerać będę. Nigdy nie siadałam do stołu z taką przyjemnością. Ten obiad będzie wybornem zakończeniem dnia naszego! Jesteśmy tak kontente, ja i siostra moja, że nam się dostał ten zamek, te fermy, te lasy.

— I że nam dostało się to wszystko — dokończyła pani Scott — w sposób tak niezwykły, niespodziewany. Wcale nawet nie myślałyśmy o tem!

— Trzeba aby ksiądz proboszcz wiedział — przerwała Bettina — że wczoraj były imieniny mojej siostry... Ale, naprzód, przepraszam, niech mi pan... pan Jan, wszak tak?

— Tak jest, pani.

— A więc niech pan Jan raczy mi dać jeszcze trochę tej wybornej zupy.

Ksiądz Konstanty poczynał już się uspakajać, odzyskiwać utraconą umysłową równowagę, ale zanadto jeszcze był wzruszony, ażeby módz spełniać dokładnie obowiązki gospodarza. Jan wziął zatem na siebie gospodarowanie przy skromnym obiedzie swego chrzestnego ojca. Napełnił zatem aż po brzegi talerz tej zachwycającej Amerykanki, która patrzyła na niego wielkiemi oczyma, pełnemi wyrazu szczerości, odwagi i wesołości. I oczy Jana, przyznać należy, tąż samą monetą jej odpłacały. Nie upłynęło trzech kwadransy, jak w ogrodzie proboszcza, młoda Amerykanka i młody oficer po raz pierwszy do siebie przemówili, a już oboje czuli się względem siebie zupełnie swobodni, pełni wzajemnej ufności i jakby w rodzaju dobrego koleżeństwa.

— Mówiłam więc księdzu proboszczowi — ciągnęła Bettina — że wczoraj były urodziny mojej siostry. Szwagier mój, ośm dni temu, zmuszony był wyjechać do Ameryki, ale wyjeżdżając powiedział żonie: „Nie będę tu wprawdzie w dniu twoich urodzin, ale odbierzesz ode mnie wiadomość i wiązanie.” Wczoraj więc, zewsząd poczęto znosić powinszowania i bukiety, ale od szwagra aż do godziny piątej, nic... nic. Wyjechałyśmy konno na spacer do lasku... a! a *propos* koni.

Zatrzymała się i rzuciła wzrok ciekawy na wielkie buty Jana kurzem okryte, a potem zawołała:

— Ależ pan nosisz ostrogi?

— Tak jest, pani.

— Więc służysz w kawaleryi?

— W artyleryi konnej, proszę pani, a ta należy do kawaleryi.

— I pułk pański stoi tu blizko?

— Utrzymuję garnizon w Souvigny.

— Więc będziesz jeździć konno z nami?

— Z największą przyjemnością.

— Zatem wszystko dobrze. Gdzież ja stanęłam? już nic nie pamiętam.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 grudnia 1882 r.

W końcu listopada a zwłaszcza w dniu świętej Katarzyny, odbywa się w Paryżu mnóstwo ślubów. Byliśmy obecni na jednym z nich w kościele Saint-Germain, parafii arystokratycznego przedmieścia. Dajemy tu wierny opis strojów jakie nam szczególniej wpadły w oko. Mogliśmy przypatrzyć się im dowoli, gdyż kościół ogrzany, wysłany dywanem, usuwał potrzebę ciepłych okrywek i płaszczyków. Dodajmy i to, że jesień tegoroczna, lubo dzdzysta, odznacza się szczególnem ciepłem; futra dotąd nie widać na ulicy.

Panna młoda miała bardzo wspaniałą suknię z atłasu i rypsu w dość grube prążki. Przód spódnicy atłasowej, kończył się u dołu plisowaną falbanką, nad nią szła bufka atłasowa, przytwierdzona w górze takąż ruszką. Powyżej przód cały składał się z płaskich buf atłasowych, przedzielanych wolantami z koronki alansońskiej w bogaty deseń. Tylne bryty z rypsu, przypięte do boków bukietami z kwiatu pomarańczowego, tworzyły rzęsisty puf i niezbyt długą powłokę z ruszą atłasową u dołu. Stanik pekinowy z długim bawetem, tak z przodu jak w tyle, otwarty był w chusteczkę; na wykroju zdobił go wolant koronkowy, przytwierdzony ruszą; pod spód szła atłasowa kamizelka. Poniżej pleców, z pod bawetu wybiegał wolant z szerokiej koronki. Rękawy do łokcia, kończyły się spadającą koronką, welon illuzyowy dopełniał pięknego stroju.

Dwie młodziuchne druchny ubrane były jednakowo, z małą ledwie różnicą w kolorach. Miały suknie z sycylianki jasno popielatej w odcieniu srebrnem, przystrojone takiemiż ruszkami i kapelusze okrągłe, kastorowe w odpowiednim kolorze. Jedna z panienek świeża blądynka, miała u kapelusza pęczek piór jasno błękitnych i kołnierzyk brukselski, odwinięty na wstążce błękitnej, spięty kokardą z indyjskiej gazy, druga brunetka ślicznie wyglądała w piórkach blado różowych z takąż ozdobą u kołnierzyka. Na wierzch miały zarzutki sznelowe, sięgające zaledwie stanu, jedna błękitną, druga blado różową.

Matka panny młodej odznaczała się wytwornym strojem, pełnym gustu i powagi. Suknia jej z aksamitu morderowego, miała przód spódnicy naszyty bogatą pasmanteryą przerabianą paciorkami tegoż jak suknia koloru, to jest imitacyą granatów, środkiem wzdłuż przodu, szła koronka czarna odwracana *en coquille* przepięta puklami wstążki atłasowej. Stanik długi francuzki, ozdobiony z przodów i na plecach pasmenteryą, miał pod spodem, atłasową przymarszczoną kamizelkę, u dołu zaś szeroki wolant koronkowy. Od boków spódnicy spadała dosyć długa powłoka, zakończona ruszą atłasową. Kapelusz morderowy aksamitny, objęty na rondzie granatami, przybrany pękiem piór do cieniu, dopełniał pięknego i wspaniałego stroju.

Zapisujemy tu jeszcze kilka całkowitych toalet, odznaczających się gustem i nowością.

Suknia z atłasu tureckiego *satin merveilleux* w kolorze wydrowym, u dołu szeroki wolant plisowany w kontrafałdy, nad tem zprzodu dwie szerokie buffy sięgające do stanu, w tyle rozniesista draperya. Z każdego boku spadają gładkie poły z ciężkiej materyi w jaśniejszym złotawym odcieniu, w bukiety aksamitne ciemno brązowe. Stanik do tego długi, francuzki rozcięty w tyle, otwarty cokolwiek z przodu, pod spód idzie kamizelka z materyi w deseń, spięta na rząd drobnych złotych guzików, kołnierz brązowy aksamitny — na nim odwinięta koronka wenecka, takież odwinięcie u rękawów, wązka ruszka dodana taku szyi jak i u ręki. Kapelusz mały aksamitny, w kolorze wydrowym wkoło ronda złote perły, nad tem wieniec z jedwabnych liści laurowych w złotym odcieniu. Z boku pęk strusich piór złotych.

Inna suknia czarna rypsowa *gros de Tours*, u dołu spódnicy szeroki wolant plisowany w kontrafałdy, przytwierdzony w odstępach, rozetami z pasmanteryi z dżetem. Przód spódnicy naszyty bogatą pasmanteryą, zarówno jak i przód stanika, spinający się do boku, zakończony na spięciu pękiem pukli ze wstążki atłasowej. Takież pukle podpinają draperyą w tyle spódnicy. Kapelusik do tego czarny aksamitny, nad czołem rusza objęta galonikiem złotym, główka cała naszyta złotą pasmanteryą, z boku pęk strusich piór czarnych.

Inna znów suknia z rypsu w kolorze popielato szafirowym *bleu telegraph*. U dołu wolant w kontrafałdy, przeszywany w drabinkę aksamitką ciemno granatową. Powyżej spódnicy, draperya podpięta po bokach puklami z aksamitki, tworzy z przodu fartuszek, w tyle puff rozniesisty. Stanik długi zapięty na rząd drobnych szmuklerskich guzików, po obu stronach, naszyta trzy razy aksamitka. U dołu stanika buffa, przepinana w drabinkę aksamitką. Kapelusik tegoż koloru jak suknia, otoczony wieńcem piór strusich, podwiązany przy uchu na kokardę z wstążki rypsowej.

Magazyn Luwru urządził w listopadzie wielką wystawę okrywek zimowych. Przemagają pomiędzy niemi pluszowe, lub też ciepłe wigoniowe okładane szeroko pluszem. Dajemy tu szczegółowy ich opis.

Długi płaszczyk z pluszu ciemno brązowego, z tyłu wcięty w stanie, od tego wcięcia wpuszczone dwie wielkie fałdy, przytwierdzone pękiem pukli ze wstążki rypsowej, rękawy od łokcia, jak u zwykłych wizytek. Obłożenie z piór strusich w tymże samym kolorze.

Wizytka z czarnego pluszu wyciskanego w poprzeczne paski *en sillon*, obszyta plumażem, szeroko na ćwierć łokcia.

Inna wizytka z broszowanego aksamitu, u dołu dwa wolanciki koronkowe, nad tem riusza czarna atłasowa, wyżej jeszcze frendzla ze szneli, przerabiana dżetem, u szyi rzęsisty garnirunek z koronki.

Do wyjścia na ulicę, wizytka długa z ciepłej tkaniny wełnianej w kolorze wydrowym, obłożona szeroko pluszem, naśladującym skórkę wydry. W tyle od stanu, spadają dwie wielkie kontrafałdy, naszyte bogato pasmanteryą, takież naszycie zdobi przody i wierzch rękawów.

Uważaliśmy także wizytki z czarnego kaszmiru indyjskiego, watowane, z czarną lub kolorową jedwabną podszewką. Do obłożenia służy zwykle plusz lub frendzla sznelowa, nad tem idzie szlak wyszyty jedwabnym sutaszem.

Do każdej wizytki odpowiedni manszonik, stanowi konieczne dopełnienie. Robią je z pluszu, z aksamitu i rypsu, obszywają piórami lub koronką, zdobią puklami ze wstążek. Rozmiary ich zawsze bardzo małe.

Do wyjścia na ulicę, zaczynają się upowszechniać kapelusze z tego samego materyału jak kostiumy. Zgrabne paryżanki upinają je same, alež i w magazynach cena tych kapelusików bywa zazwyczaj dostępną. Główka u nich bufowana z kaszmiru, sukienka, lub materyału w kratę, rondko składa się po prostu, z jednej lub dwóch riusz jedwabnych wycinanych w ząbki w maszynie, pęczek pukli ze wstążki przypięty z boku i takież wązkie szarfy, dopełniają ubrania.

Miejsce rannych szlafroczków zastępują powszechnie tak zwane *matinées*, to jest spódniczki z paletotami. Robią je z flanelki gładkiej w rozmaitych kolorach, lub z gładkiego multanu, cieplejszego od zwykłej flanelki. U dołu spódniczki idą dwa wolanty, obdziergane w zęby, wyszywane jedwabiem. Także wolant dany w około paletocika, szerszy u dołu, zwężony po bokach, kieszonki i mankiety, stosownie ozdobione, niekiedy miejsce haftu zastępuje trzy razy naszyta aksamitka. Bardzo ładnie wygląda taki ranny ubiór z białego multanu z czarnym haftem lub czarną aksamitką, albo też jasno błękitny z ciemno szafirowym haftem.

Powiedzmy jeszcze słówko o sposobie układu włosów. Wiadomo, że po zbyt piętrzastych fryzurach, przyjęto inną ostateczność, to jest włosy gładko zczesane na tył głowy, spięte na grzebień lub wielkie szpilki. Ta moda nie przypadła do smaku panien niższego wzrostu, a bardziej jeszcze fryzyerów. Ci ostatni złożyli niedawno doroczną naradę i rzucili w świat kilka nowych pomysłów. Na tył głowy, wymyślili tak zwane skowrończe gniazdka, *nid d'alouette*, złożone z pukli i warkoczy.

Do nowości też należą dyademy, zwane *bundeau Salomé*, układane z przekręcanych sztucznie włosów, przepinanych półksiężycami z szyldkretu. Dyadem taki kładzie się po nad czołem, z pod niego wybiega utrefiona fryzurka, lub też zwyczajne strzępki. Ponieważ ułożenie dyademu wymaga koniecznie biegłej ręki fryzyera, wiele pań zastępuje go zwykłym warkoczem, przepinanym szyldkretowemi lub dżetowemi szpilkami.

Długie rękawiczki stały się panującą modą; jedne wykładają na wierzch rękawów, drugie wsuwają pod spód, przyciskając je dżetowemi bransoletkami. Na zimę przygotowano mnóstwo kozłowych rękawiczek, podbitych pluszem z bardzo szerokim mankietem, z pluszu albo futerka. Miejsce guzików zastępuje ściśnięta u ręki sprężynka.

PRZEGLĄD LITERACKI.

O pielęgnowaniu chorych w domu i szpitalu, przekład z 2-go wydania niemieckiego. Warszawa, 1882 r.

Redakcya „Kroniki lekarskiej" niemałą, ba nawet wielką oddała usługę szerszej publiczności wydając w bardzo dobrym tłomaczeniu znakomity podręcznik słynnego D-ra Th. Billrotha. O wartości oryginału pod względem krytycznym mówić tu nie będziemy. Praca ta krytyce zupełnie nie podlega, jako nadzwyczaj przystępnie i gruntownie napisana i która bezwarunkowo w rękach każdej gospodyni domu, każdej matki znajdować by się powinna. Głównym zadaniem tej książki jest ułatwienie chcącym się wykształcić w zawodzie dozorczyń chorych do przygotowania się na wykłady pierwszego kursu. Dr. Billroth, pisząc

ten podręcznik, miał na celu nietylko zawodowe dozorczynie lecz także i wykształcone kobiety i matki rodzin, „które nietylko chcą uczyć się czegoś na pamięć, lecz potrzebują także cokolwiek dla zajęcia myśli". Podręcznik pomieniony podzielony na dziewięć rozdziałów i wstęp, wykłada bardzo przystępnie wszelkie możliwe przypadłości chorób, oraz sposoby ich pielęgnowania. Znajdujemy też tutaj wskazówki dotyczące: pokoju chorego, łóżka, pościeli, ogólnych prawideł pielęgnowania chorych leżących w łóżkach, odzienia, odleżyn, światła, wykonywania zaleceń lekarskich, przygotowań do operacyi i opatrunku, dozorowania i pielęgnownia gorączkujących, pielęgnowania w chorobach epidemicznych i zaraźliwych, odwietrzania, pielęgnowania nerwowo i umysłowo chorych, pomocy w wypadkach nagłych, odżywiania i dyetty. Przedstawiwszy w skróceniu treść dziełka D-ra Billrotha, raz jeszcze powtarzamy, że praca ta znajdować się powinna w każdej rodzinie, w rękach każdej pani domu. Tłomaczenie jest wyborne, a sposób wykładu nietylko przystępny lecz i zajmujący.

Jak o poprzednim dziełku D-ra Billrotha przyswojonem naszej literaturze, tak również nietylko przemilczeć ale i nic złego powiedzieć nie możemy o **Zasadach gramatyki języka polskiego** przez Ignacego Boczylińskiego, a nawet zmuszeni jesteśmy przyznać, że gramatyka p. Boczylińskiego z całą śmiałością zaliczoną być może do rzędu nietylko najlepszych, lecz co więcej uważaną być może jako najlepsza z pośród wszystkich gramatyk jakie w ostatnich czasach do użytku naszej młodzieży się ukazały. Słusznie autor powiada w swej przedmowie (drugie poprawne wydanie, Warszawa, 1882 r., cena dwóch części rs. 1 kop. 5) że uprzystępnienie wyników, badań językowych Małeckiego i Malinowskiego, w dziełku podręcznym dla młodzieży, byłoby pożądanem, w sprawie początkowego nauczania, które jak dotąd oparte było na bezmyślnem nauczaniu gramatyki na pamięć, gdy tymczasem gramatyka jest nauką obserwacyi, indukcyi i rozumowań i jako taka jest najpotężniejszym środkiem do rozwinięcia władz umysłowych.

Tą myślą kierowany autor ułożył powyższe *zasady* w których głównie mu chodzi o gruntowność zasad, o utrzymanie ciągłego związku między żywą mową a jej prawami, jak również między mową a myślą i o zastosowanie prawd nauki do praktycznego użycia.

Z tych też powodów autor pominął wszelkie „abstrakcyjno-naukowe subtelności, spory, nowatorstwa i definicye, oraz unikał cudackiej terminologii". Z tych też powodów piszący starał się podać tyle tylko młodzieńczym umysłom naukowego materyału „ile te strawić i przyswoić mogą i w sposób do ich zdolności najodpowiedniejszy słowem to tylko co w nauczaniu i w życiu praktycznem mieć może zastosowanie." Twierdzi dalej autor i to nie bez racyi, z wielką znajomością rzeczy, że „najszkodliwszą dla umysłu dziełka metodą, jest nauczanie gramatyki na pamięć." Metoda ta jest bezmyślnie szkodliwą, bo tym sposobem zabija się w dziecku wszelka zdolość myślenia, stępia najszlachetniejsze władze umysłowe a nadto uzupełnia je takim wstrętem do gramatyki, że i w dojrzałych latach trudno go się pozbyć. Część pierwsza: „Zasad gramatyki" zawiera w sobie nadzwyczaj praktycznie wyłożoną gramatykę właściwą, popartą licznemi przykładami; część druga obejmuje: składnię i uzupełnia tym sposobem część pierwszą. Nie będziemy się tu wdawać w szczegółowy rozbiór pracy p. Boczylińskiego, nie miejsce tu bowiem do tego, powiemy tylko, że „Zasady gramatyki języka polskiego tegoż Ignacego Boczylińskiego" bezwarunkowo tak w nauce domowej jak i w pensyonatach wyrugować powinny owe przesławne gramatyki a raczej parodye gramatyk, które zamiast uczyć czegoś dziecęcy umysł, tylko obałamucają i wywołują to co p. B. wypowiedział: wstręt jak największy do wszelkiego rodzaju gramatyk. Dzieło to gorąco zalecamy Czytelniczkom naszym.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Wiadomo iż magistrat miasta Wiednia ogłosił konkurs na utwór dramatyczny z okoliczności dwóchsetletniej rocznicy oswobodzenia Wiednia od tureckiego najazdu, przeznaczając za najlepszy utwór nagrodę 300 dukatów; otóż w jednym z ostatnich numerow wiedeńskiej „Reformy" zamieszczony jest nader dowcipny „List otwarty poety dramatycznego do magistratu miasta Wiednia." Oto jego przekład:

„Dowiedziawszy się iż prześwietny magistrat stołecznego naszego miasta Wiednia, ogłosił konkurs na utwór dramatyczny osnuty na tle odsieczy 1863 roku, i za najlepszy wyznaczył nagrodę 300 dukatów, ogarnęła mnie nagle (co łatwo pojąć) gorąca chętka pozyskania owej sumki, wraz z pewnym nieodłącznym od niej promykiem marnej sławy. Lecz zaledwie myśl tę powziąwszy w wielkim znalazłem się kłopocie. Rzecz prosta że dramatu bez bohatera jego napisać niepodobna, a doprawdy w tym razie nader trudno oznaczyć którą też z działających pod Wiedniem osobistości za takowego obrać należy? Nie zgodziłby się najniezawodniej na to prześwietny magistrat, aby rolę tę przeznaczyć wezyrowi Kara Mustafie'mu; podniesienie hrabiego Stahremberg'a do tej godności, sprzeciwiałoby się znowu zasadom lojalności, nakazującej nie wodzów ale mocarzy stawiać na pierwszym planie; apoteozowanie mieszczaństwa, w osobie np. jakiegoś Eisenfausta zadawałoby fałsz najnowszym historycznym badaniom, a chociażbym takie wziąwszy założenie najpewniej został nagrodzonym, to znowu musiałbym wyrzec się nadziei nieśmiertelnej sławy. Zrobiwszy bohaterem cesarza Leopolda, mógłbym zająć świetne stanowisko nadwornego poety, ale trzebaby koniecznie całą akcyą dramatu przenieść do Passau, miejsca ówczesnego pobytu cesarza—co i dla autora i dla wszystkich nas wogóle, nader byłoby niemiłem... Więc chyba obrać Sobieskiego, i jego przedstawić jako pogromcę Turków, głównego bohatera odsieczy, tem więcej że zgadzałoby się to najwięcej z prawdą historyczną?... Tak, ale znów z drugiej strony nie dozwalałoby mi to nawet łudzić się możnością owej tak ponętnej nagrody 300 dukatów... Zatem dręczony niepewnością i niepokojem, zwracam się do prześwietnego magistratu z prośbą o łaskawe objaśnienie, kogo życzy sobie widzieć bohaterem konkursowego dramatu: mieszczanina Eisenfausta, hrabiego Stahremberga, cesarza Leopolda czy też króla polskiego, Jana Sobieskiego?"

*** Sprawozdanie uniwersytetu londyńskiego o ostatnim egzaminie, obejmuje ciekawe szczegóły, odnośnie do zdających go kobiet i mężczyzn. O stopień „bachelor of orts" ubiegało się 215 mężczyzn i 22 kobiet. Z tej liczby zdających mężczyzn, żądany stopień otrzymało tylko 99, co wypada około 42 na sto, zaś z pomiędzy 22 kobiet, uzyskało stopień ten aż 16, czyli 73 procent. Dalej gdy z owych 215 studentów, tylko 58 studentów złożyło egzamin z odznaczeniem, patent taki uzyskało aż 15 kobiet, a dodać jeszcze trzeba iż studentki są młodsze od studentów.

*** Dzienniki zagraniczne donoszą, że w Anglii postanowioną została nowa ustawa odnosząca się do prawa własności i posiadania kobiet zamężnych. Każdej wychodzącej za mąż kobiecie od 1 stycznia roku przyszłego, przysługuje zupełne i całkowite prawo wyłącznego posiadania i zawiadywania swem mieniem, tak ruchomem jak nieruchomem jakie posiadała przed ślubem, jakie spadło na nią lub jakie nabyła w czasie małżeństwa. Majątkiem i mieniem swojem może rozporządzać dowolnie, czy przez testament czy w inny sposób. Rozporządzanie to nosi nazwę „Married Womens Property Act" — a wedle jego brzmienia, mąż bez zezwolenia żony, nie może rozporządzać lub naruszyć ani jednego penny z jej posagu, a nie dość na tem przyznaje ono żonie prawo do wszystkiego co pozyskała w czasie trwającego małżeństwa, czyto własną pracą czy jakiembądź zajęciem. Odtąd żadna kobieta, od najbiedniejszej wyrobnicy lub służącej, pracą rąk własnych zarabiających dziennie parę szyllingów — do primadonny, zyskującej śpiewem lub grą tysiące za jedno wystąpienie, nie będzie obowiązana składać rachunków lub oddawać coś mężowi ze swego zarobku, gdyż według nowej ustawy, wszystko co zarobi pracą lub talentem, staje się jej osobistą i niezaprzeczoną własnością, którą dowolnie rozporządzać może.

Bez zaprzeczenia prawo takie powstrzyma do pewnego stopnia spekulantów goniących za posagiem, kładąc tamę trwonieniu go i wyzyskiwaniu na swe wybryki i zbytki, ale z drugiej strony taka nieograniczona dowolność rozrządzania majątkiem pozostawiona zbyt młodym i niedoświadczonym, a jak się to dziś często bardzo zdarza, nader niepraktycznym kobietom, może wielokrotnie stać się „mieczem w ręku szalonego."

Po zapadnięciu tego postanowienia, w myśl zwolenników emancypacyi kobiet, komitet agitujący w tym celu, zamknął swe posiedzenia.

*** Jeden z korespondentów „Gołosa" opisuje wyjątkową osobistość niejakiego Kutiłowa, włościanina z gubernii Permskiej, który przez lat kilka odbywał wędrówki od domu do domu, od wioski do wioski, żebrząc o składki na szkołę. Gdy już udało mu się zebrać pewną sumkę i dołączywszy do niej wszystko co mógł zaoszczędzić pracując krwawo, rozpoczął uczenie dzieci w budynku na ten cel wystawionym.

W poczciwem sercu Kutiłowa wcześnie powstała gorąca żądza szerzenia oświaty w pośród współbraci swoich i w tym celu zgodził się na stróża do pewnej parafialnej szkółki i dwa lata pełnił podjęte obowiązki, ucząc się zarazem czego tylko mógł się nauczyć w szkółce elementarej. Dzięki tej odrobinie światła, pełnił sam z początku obowiązki nauczyciela w założonej staraniem swojem szkółce, a dla otrzymania niezbędnego upoważnienia od właściwej władzy, zmuszony był odbyć piechotą drogę do Permu, odległego o wiorst 200. Pomimo uzyskanego patentu, sam dopokąd tylko zajmował się nauczaniem, dopokąd nie wyprosi

u Ziemstwa subwencyi dozwalającej opłacać zdolniejszego nauczyciela. Obecnie zaniósł podanie do krasnoufimskiego Ziemstwa o nową subwencyą, którą uzyskaćby powinien — ale że jak zazwyczaj „nikt nie jest prorokiem między swymi" więc też i rzadki ten człowiek znalazł wielu niechętnych między chłopstwem, którzy zbierają się na narady „czyby pięściami nie wybić mu z głowy tych niebezpiecznych dążeń" a to z obawy aby nie stały się powodem podniesienia podatków i zwiększenia ciężarów ziemskich. Osobliwsza to postać, szczególniej ze względu na sferę z jakiej pochodzi i śmiało można powiedzieć o nim co niegdyś powiedziano w Niemczech o uczonym starozakonnym Mendelsohn'ie: *Unter den allen selten, unter den seinen einigen!*

*** W Ameryce zaczęto wytwarzać gaz z wody i otrzymany tym sposobem ma być daleko czystszym a zatem i silniejsze wydającym światło, do czego łączy jeszcze tę wielką zaletę, że jest daleko tańszym. Obecnie gaz ten zaczyna wchodzić w użycie w Niemczech. W Paryżu znowu robiono próby z nowo wynalezioną lampą elektryczną—rezultaty były świetne. Lampa owa paliła się równo i bez przerwy z Paryża do Damartin, dając światło tak silne iż na 250 kroków przed parowozem można było jak w dzień rozróżnić najmniejszy szczegół, a przy lepszem ustawieniu reflektora, linię przed parowcem aż na 750 kroków widzieć było można. Jednakże mimo tych wszystkich zalet, zapewnie lampa ta nie wejdzie w powszechne użycie na kolejach, ponieważ łącznie z maszyną dynamo-elektryczną, kosztuje 3,000 fr. a wydatek taki wyda się pewno za wielkim oszczędnym dyrekcyom kolejowym.

NOWE WYDAWNICTWA.

Powstawanie gór i lądów przez prof. W. Boberskiego.

Kalendarz Powszechny na rok 1883, nakładem księgarni Teodora Paprockiego Chmielna Nr. 8. Jako premium bezpłatne dodają się dwa kalendarze: ścienny i kieszonkowy.

Prawdziwe opowiadania czyli druga książeczka do czytania. Ułożył Kazimierz Promyk. Wydanie piąte — wydawnictwo księgarni krajowej Konrada Prószyńskiego, Krakowskie Przedmieście Nr 75.

J. I. Kraszewskiego. Powieści historyczne XVII w. Matka królów—czasy Jagiełłowe, tomów dwa.

Nakładem księgarni Maurycego Orgelbranda wyszły następujące dziełka:

Pamiątki starego szlachcica według pierwowzoru ułożone dla młodzieży przez Jerzego Laskarysa, ozdobione ośmiu chromolitografiami i 15 drzeworytami, rysunku Ant. Zaleskiego.

Podróż naukowa po pokoju odbyta z młodymi przyjaciołmi przez H. Wagnera z wielu rycinami, wydanie drugie.

Rozbitki albo dwudziestomiesięczny pobyt na wyspach Auklandzkich. Opowieść prawdziwa F. E. Rajnala, z illustracyami.

Podarek dla pilnych i grzecznych dzieci. Książeczka abecadłowa przez Teofila Nowosielskiego ułożona a zawierająca początki nauki czytania oraz światek dziecinny w powiastkach, bajeczkach, piosenkach, przy dołączeniu krótkiej wiadomości o rzeczach pożytecznych i ludziach zasłużonych. Rycin w tekście 60.

Loteryjka dziejowa, gra towarzyska z historyi kraju, ułożona przez S. A. P. Skład główny w księgarni krajowej J. K. Prószyńskiego, Krakowskie Przedmieście Nr. 75. Sposób grania jest zupełnie podobny jak w loteryjce zwyczajnej, tylko zamiast numerów wyciągają się bilety z pytaniami z historyi a na tabliczkach w miejsce cyfr znajdują się obrazki.

Nakładem księgarni Ferdynanda Hösicka wyszły nastepujące dzieła:

Historya w obrazach illustrowana. Życiorysy, charaktery, podania i fakty historyczne — czasy przedchrześciańskie według A. W. Grubego z dodaniem historyi Słowiańszczyzny opracowała Z. Zajączkowska.

Robinson meksykański illustrowany. Przygody, podróże i wypadki Robinsona w Meksyku. Opisy natury, obyczajów, polowań, wojen i życia leśnego. Przekład z angielskiego Th. Rade dokonany przez St. M. Rzętkowskiego.

Arka Noego, prześliczny abecadlnik z historyi naturalnej z rysunkami Wł. Szymanowskiego.

Dziewczęce losy, powieść dla młodych dziewcząt przez Zofię Verene, przekład Anastazyi Dzieduszyckiej.

Lirnik polski, zbiór poezyi ułożony przez Wandę Żeleńską z rycinami W. Gersona.

Odgłosy wielkiego tygodnia, napisała A. Fiedorowiczowa. Święty Dyzma, Chusta Weroniki, Ostatni dar, Rezurekcya. Wydano w Kijowie.

Cudzoziemiec, opowiadanie przez Autorkę „Znakomitości" Zofię Urbanowską.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Annie T. w Odessie. Kopiejek 50, stosownie do odebranej wiadomości dołączono do składek na budowę pomnika dla Mickiewicza.

Panu Kazimierzowi L. w Radziwiłłowie. Tygodnik w kwartale czwartym jest przesyłany jak najregularniej. Wierszyk p. t. „Jesienią" byłby wydrukowany, ale jak w tym razie, nastąpić to nie może. Wierszyk do I. K. zgrabnie ułożony ale zbyt osobistym wrażeniom poświęcony co wydrukowaniu jego przeszkadza.

Pani Zofii Cz. we wsi Łąka mała. W wierszykach nadesłanych, znać że młodziutka autorka ma zdolności i wiele uczucia poetycznego, ale jeszcze nie wyrobiła w sobie umiejętnego i zgrabnego sposobu wyrażenia tego co czuje. Zapoznanie się z celniejszemi utworami naszej literatury, a szczególniej z poetami, wielką w tym razie może stanowić pomoc.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami oraz dla prenumeratorów na poczcie—Katalog Wydawnictwa zabawek i gier pedagogicznych w Warszawie.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 23 Ноября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 49, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

— Trzeba przyznać że posuwasz pan bezczelność do ostatnich krańców, odrzekła cierpko. Dawniej, mając wybierać między kobietą którą niby kochałeś a wielkim majątkiem, zamknąłeś swe serce, a otworzyłeś worek; dziś, mając już pieniądze, chciałbyś w dodatku posiąść kobietę, i przychodzisz prawić mi czułe oświadczenia. Nic z tego, mój panie, zanadto jesteś chciwy!...

Książę smutnie potrząsł głową.

— Jakże niemiłosierną jesteś dla mnie! rzekł: Wiedziałem dobrze iż dotąd masz żal do mnie.

Klara zerwała się nagle; oczy jej zabłysły oburzeniem i rzekła ostrym głosem:

— Żal do ciebie! O! mój panie za nadto sobie pochlebiasz. Gdyby w sercu mojem mogło jakiekolwiek istnieć dla niego uczucie, to już chyba wdzięczność; bo przecież tobie to winnam że poślubiłam pana Derblay, człowieka o tyle wyższego i użytecznego, o ile pan jesteś zerem; o tyle pełnego poświęcenia jak pan samolubstwa; o tyle szlachetnego jak pan jesteś poziomym i nędznym; słowem posiadającego wszelkie cnoty i przymioty na jakich panu zbywa, a żadnej z twoich wad i ułomności.

Książę przygryzł usta; każde słowo gwałtownej tej odpowiedzi ugodziło go jakby silny, w samą twarz wymierzony policzek.

— Być może, odrzekł, probując pewnym wzrokiem wpatrywać się w Klarę, być może iż pan Derblay jest uosobioną doskonałością, ale ma jedną wadę niewczącą wszystkie wielkie jego zalety—przynajmniej odnośnie do ciebie — nie kocha cię wcale. Zaledwie od ośmiu miesięcy jest twoim mężem, gdyby umiał cenić cię jak na to zasługujesz, powinienby być obok ciebie, czuły, uprzejmy, nadskakujący, gotów na każde skinienie—a jednak gdzież jest w tej chwili? Obok księżnej!

— Obok żony pana! zawołała gwałtownie Klara, poczem zapanowawszy nad sobą dodała chłodno: I czemuż ja miałabym się tem niepokoić, skoro książę nic sobie z tego nie robi?

— O! bo ja bynajmniej nie jestem zazdrosny, odparł z lekceważeniem. A potem, znam dobrze księżnę. Jest to pokaźna lalka, strojna w koronki i klejnoty, ale daremnie szukałby pod niemi serca lub głowy — tak więc namiętność nie ma do niej przystępu. Gdy tymczasem mąż twój...

Przysunął się i pochylony zaczął mówić z bardzo blizka, jakby z obawy aby słowa jego przechodząc przez powietrze, nie utraciły coś ze swej zdradzieckiej doniosłości.

— Wszak przed chwilą zaledwie widziałaś go przy niej... A! niewdzięcznik nie umiejący cenić swego szczęścia! szaleniec, narażający się na jego utratę... Pozostaw go księżnie, Klaro, oni warci siebie... a pozwól mi pozostać przy sobie, mnie co cię kocham, co umiem cię pojąć i cenić.

Klara cofnęła się o parę kroków, aby większa przestrzeń dzieliła ją od księcia. I zgnębiona a nie chcąc tego okazać, zawołała:

— A! doprawdy, wszystko co mówisz do śmiechu tylko mnie pobudza...

— Tak, śmiejesz się aby nie płakać, jak mówi Figaro, bo w rzeczywistości bardzo to smutne. Jesteś na zawsze przykuta do człowieka, który moralnie zawsze obcym pozostanie dla ciebie. Wszystko w was jest sprzeczne sobie, wszystko wzajemnie odpycha się i dzieli was. On jest plebejuszem, ty patrycyuszką; on niezawodnie jest zakorzenionym demokratą, ty arystokratką do szpiku kości. Jest szorstki jak wszystko co wychodzi z ludu, a ciebie razi i odstręcza. Ty znów jesteś dumną jak wszystko co pochodzi ze szlachty, a jego to dotyka boleśnie... Pochodzicie z dwóch ras już od powstania swego wrogich sobie. Naddziadowie tego pana ścinali głowy przodków twoich—słowem wszystko usposabia was do wzajemnej nienawiści, nic zaś nie skłania do kochania się wzajemnie.

Klara dumnie podniosła głowę, i brawując zawołała:

— A jednak kocham go, i wiesz o tem dobrze.

— To jest wyobrażasz sobie że go kochasz! odrzekł tonem jakim przemawia się do dziecka chcąc go przekonać,—a tak mniemasz dla tego że jesteś zazdrosną. Ależ są różne rodzaje zazdrości; jest zazdrość wynikająca z miłości, jest inna wywołana pychą, i przysiągłbym że tę właśnie uczuwasz. Mąż cię zaniedbuje, a choć nie dbasz o niego, gniewa cię to i drażni... I rzecz to bardzo prosta. Dalej przywięzujesz się niby do niego wiedziona duchem sprzeczności — tak zwykle czynią kobiety. O! znam ja doskonale to przesilenie jakie teraz przechodzisz.

Klara, przejęta zdziwieniem i wstrętem, słuchała w milczeniu tej jego oburzającej analizy. Bligny osłupienie jej wziął za zaciekawienie, pragnął więc kończyć dzieło demoralizacyi, które, jak mniemał, rozpoczął z tak dobrym skutkiem.

— Klaro, chcę szczerze i otwarcie postępować z tobą, mówił śmiejąc się, słuchaj więc co powiem. Przesilenie o którem wspomniałem, składa się z czterech okresów, jak zmiany księżyca. Ty jesteś teraz w pierwszym, to jest w okresie oporu. Mąż cię zaniedbuje, ty uwzięłaś się go odzyskać. Jest to rodzaj *idée fixe*. On jednak przyjmuje wszystko obojętnie, i przekonywasz się niebawem, że wszelkie usiłowania twoje są bezskuteczne. Mąż twój który dotąd poprzestawał na zalecaniu się do kobiet, staje się stanowczo niewiernym—a ty przechodzisz do okresu drugiego, to jest do rozczarowania. Wszystko cię opuszcza, złudzenia się rozpraszają, spokój stracony. Rozpacz cię ogarnia, i wtedy zwracasz się nagle do Boga, jedynego pocieszyciela w wielkich smutkach i nieszczęściach; ale ponieważ mimo to mąż nie przestaje się przeniewierzać, wiara twoja zaczyna słabnąć. Szczęśliwy ten zdobywca serc jest nader wesoły, ty nader smutna. A przecież liczysz dopiero lat dwadzieścia dwa, masz prawo kochać i być kochaną. Niepodobna samotnej całego przeżyć życia — ogarnia cię silne rozdrażnienie, i rozpoczynasz okres trzeci, okres gniewu. Teraz z oczu twoich spadła zasłaniająca je zasłona; mąż przedstawia ci się jakim jest w istocie, niezgrabny, pospolity i ograniczony. I pojąć nie możesz jak mogłaś żałować go choć minutę, i zaczyna budzić się w tobie jakaś nieokreślona chętka pewnych kompensat. O! tym razem strach na płochego małżonka, bo zbliża się koniec przesilenia—i rumieniąc się, ale z postanowieniem stanowczem, stawiasz śliczną swoją nóżkę na gruncie pocieszania się... Spojrz przed siebie; jak tu wszystko pięknie i wesoło, jak różowe roztacza się światło. A jak łatwo o wszystkiem zapomnieć!... Śmiało, jeden krok tylko, a przekroczysz granicę... Wahasz się?.. pozwól że podam ci rękę i wprowadzę do tej rozkosznej krainy, w której mam zaszczyt oczekiwać cię, ożywioną niejaką nadzieją i gorącą miłością.

I chciał ująć rękę Klary. Odtrąciła go i zawołała ukazując twarz posępną i groźną:

— Obliczenia pana są bardzo dowcipne i dowodzą wytrawnych badań; ale żałuję bardzo, iż badając nader skrupulatnie charaktery kobiet szalonych i zepsutych, nie starałeś się poznać uczciwych i szanujących swą godność. Chlubię się tem iż mogę panu oznajmić że są kobiety nieszczęśliwe a przecież nie szalone, gardzące podobną zemstą, i szukające jedynie i znajdujące dostateczną pociechę w tem że zasługują na swój własny i ogólny szacunek.

— Aha! odrzekł książę, leży to w tej roli—okres oporu.

— Przestań, bo mogę cię znienawidzić.

— Nie mogę, bo kocham cię i uwielbiam.

— Ta mniemana miłość jest tylko nikczemnem prześladowaniem. Zasłużywszy na pogardę, czyż chcesz jeszcze narazić się na nienawiść!

Książę zamilkł wpatrując się w Klarę drżącą gniewem i oburzeniem. Pierś jej podnosiła się pod amazonką; ręka zaciśnięta kurczowo trzymała szpicrutę! stała dumna, z podniesionem czołem, mierząc księcia pogardliwem spojrzeniem.

Pomimo to, nigdy nie wydała mu się tak piękną. Oczy jego zabłysły, zbliżył się do niej. I znowu chciał ująć jej rękę. Cofnęła się, i zmarszczywszy brwi, zawołała groźnie:

— Precz! jeźli krok jeszcze postąpisz, uważać cię będę za ostatniego nikczemnika, i twarz napiętnuję szpicrutą.

I widział że podniosła rękę i patrząc dziko i groźnie, gotowa była do wymierzenia ciosu. Cofnął się o parę kroków.

Wtedy dumna z odniesionego zwycięztwa, wyprostowała się i zawołała drżąca oburzeniem:

— Więc do tego już przyszło że śmiesz mnie tak znieważać?... Czyż już tak jawnie jestem opuszczoną że można bezkarnie podobną wyrządzić mi obelgę? Gdyby po za mną stał mężczyzna gotów wystąpić w mej obronie, czyż odważyłbyś się na to?... Ale jestem osamotniona, można więc sobie wszystkiego pozwalać... A! przekonywasz się że zdolną jestem bronić się sama!

Książę miał czas ochłonąć; skłonił głowę i rzekł spokojnie:

— Przyjdzie czas że zmienisz postępowanie swoje ze mną—mam więc przed sobą przyszłość, a jestem cierpliwy i umiem czekać.

To zuchwalstwo jego do ostateczności przywiodło Klarę. Orzuciła go błędnym wzrokiem, odwróciła sie z pogardą i zwracając się ku rozdrożu od którego oddzielała ją ruchoma osłona z olszyny i osiny, postąpiła ku miejscu w którem służba pana Moulinet'a przygotowywała dla gości sutą przekąskę.

— Baczność! zawołał najstarszy strzelec, goście nadjeżdżają.

Ze wszystkich dróg lasu dotykających rozdroża powracały powozy, tocząc się głucho po kobiercu zielonej murawy. Jeźdzcy jechali bokiem po obu stronach drogi. Szalona gonitwa rozgrzała i rozweseliła młodzież; przywoływali się i rozmawiali tak głośno, iż choć byli jeszcze oddaleni o jakie pięćset metrów, wyraźnie słyszeć się dawał wesoły gwar ich ożywionych głosów. Wolni od wszelkich trosk i kłopotów, zajęci jedynie przyjemnościami obecnej chwili, używali w całej pełni prześlicznej pogody. Klara z boleśnem uczuciem porównywała tę gwarną wesołość z cichym a głębokiem smutkiem swoim. Czuła żal do całej przyrody że tak piękną i wesołą przywdziała postać, wówczas gdy tak ciężki smutek przygniatał jej serce, zapominając o tem że sama była przyczyną swego cierpienia.

Powóz wjeżdżający w dolinę obudził ją z zamyślenia; jechała w nim margrabina de Beaulieu—Klara prędko pobiegła do niej. Zdało jej się że sama obecność jej zacnej i szlachetnej matki, oczyściła powietrze — obok niej uspokoiła się w jednej chwili. Pani de Beaulieu nie śpieszyła z przyjazdem do lasu; przybywała jedynie dla zobaczenia Klary jadącej konno.

— Cóż to? zastaję cię tu samą! gdzież mąż twój? Co robi Zofia?...

— Baronowa odjechała w tej chwili, odpowiedziała Klara, a co do Filipa, sama chciałam żeby wziął udział w polowaniu. Nie wypada ażeby na zebraniu publicznem tak ani na chwilę mnie nie opuszczał—jeszczeby się z nas śmieli!...

Żartowała i zdawała się wesoła i spokojna. Margrabina patrzyła na nią z żywem zadowolnieniem. W jej nie zbyt głębokim umyśle, nigdy nie powstała najlżejsza wątpliwość o szczęściu córki.

— Jesteście tak szczęśliwi iż możecie pozwolić sobie na ten zbytek aby ukrywać to szczęście, rzekła pani de Beaulieu. Ach! ten Filip, to zięć nieoceniony.

Kalwakata jeźdzców nadjeżdżająca prędko przerwała mowę margrabiny, dozwalając zarazem Klarze ukryć pomieszanie wywołane pochwałami matki. La Brède i Du Tremblay siedzieli na spienionych koniach, jeden czerwony jak piwonia, drugi blady jak chusta, otoczeni przez wesołą młodzież, wychwalającą ich siłę i zręczność z jaką unikali ścigających. Pontac trąbił zawzięcie hallali na swej trąbce à la Dampière, a stojący w pobliżu strzelec jego Bistocq, stał skrzywiony mrucząc pod nosem i powstając na dzikie fantazye panów, robiących sobie z polowania dziecinną igraszkę i zamęczających konie dla gonienia za kawałkami papieru, za pozwoleniem jakby gałganiarze.

Za pierwszym rzutem oka, Klara spostrzegła Filipa powracającego z baronową i Zuzanną. Wyprzedzając ich, Zofia dojechała prędko do Klary, szepcząc jej do ucha kilka słówek, wywołujących radośny rumieniec na policzki młodej kobiety:

— Jak przyjechałyśmy, już nie był przy Atenais, oddalił się zostawiając przy niej tego niedołęgę Pontac'a, nie umiejącego nic więcej jak trąbić na polowaniu. To mi dopiero śliczny talent posiada, i miły chłopaczek w towarzystwie!

I zaśmiała się spoglądając przymrużonemi oczami na Atenais, która nadjechała właśnie ogłuszona trąbką swego towarzysza, a nie chciała powiedzieć mu żeby zaprzestał, z obawy aby nie pomyślano że ma zbyt drażliwe nerwy.

Spostrzegłszy Klarę, księżna puściła konia galopem, i orzucając szyderskiem spojrzeniem księcia stojącego obojętnie o kilka kroków od powozu margrabiny, zawołała:

— A! jesteś, książę! znajdujemy cię nareszcie i to razem z panią Derblay!... Bardzo to pięknie z twej strony że tak dotrzymujesz kuzynce towarzystwa.

I mówiąc to, rzuciła na Filipa szatańsko-złośliwe spojrzenie, pragnąc wzbudzić niem w jego umyśle ubliżające żonie podejrzenie, aby tym sposobem zemścić się na nim za upokarzające dla niej opuszczenie ją w lesie. Tak wyzwany, Filip postąpił parę kroków, z miną stanowczą, niemal groźną. Klara zbladła. Czyż zacięta nienawiść księżnej miała popchnąć tych dwóch ludzi do śmiertelnej może walki?

— Nie byłem tak szczęśliwym abym mógł dotrzymywać towarzystwa mojej kuzynce, odparł książę kłaniając się z uszanowaniem pani Derblay,—przybywszy tu zastałem ją z margrabiną.

— Tak!... to widać, mój drogi masz bardzo lichego konia, trzeba go odmienić.

I z zaciśniętemi zębami ze złości że przewrotne wyrachowanie ją zawiodło, uderzyła gwałtownie szpicrutą swego wierzchowca, który spiąwszy się odskoczył na bok, szarpnąwszy gwałtownie spienione wędzidło.

Książę przysunął się zimny i obojętny, chwycił za uzdę i osadził konia w miejscu, poczem pomógł żonie zsiąść z niego mówiąc półgłosem, z nieukrywaną impertynencyą:

— Osoby dobrze wychowane nie smagają swych koni szpicrutą, zwłaszcza jeźli jak ty nie mogą się pochwalić dobrem jeżdżeniem—mogłabyś z łatwością śpaść z siodła... i wzbudzić śmiech ogólny... Chciej zaniechać podobnych wybryków — cuchną sklepikiem.

Atenais pobladła rozwścieczona, a książę oddalił się spokojnie i złączywszy się ze swymi gośćmi, spełniał wraz z nimi toosty na cześć odbytego polowania.

Klara czuła że krew lodem ścina się w jej żyłach; drżąca i pomieszana wsiadła do powozu matki, prosząc aby ją odwiozła do Pont-Avesnes. Ciężyła jej na sercu odpowiedź księcia na docinki Atenais, którą tenże zażegnał burzę jaką wywołałoby niemylnie wmięszanie się Filipa — gdyż zdawało jej się że nie zaprzeczywszy jego słowom—przyjmuje pewien udział w jego przewinieniu. Chciała wszystko powiedzieć mężowi, przekładając jego naganę, choćby gniew nawet, nad ohydne wspólnictwo z człowiekiem co ją tak znieważył — ale zbrakło jej odwagi. Westchnęła ciężko czując się skazaną na udawanie i kłamstwo tak dla niej wstrętne, oszukiwanie zawsze i wszędzie, i ukazywanie uśmiechniętej twarzy, kiedy smutek i rozpacz szarpały jej duszę.

Spojrzała nieśmiało na Filipa, który jechał obok kabryoletu pana Bachelin. Rozmawiał spokojnie z notaryuszem, ani twarz ani głos jego nie zdradzały jakiegoś wzruszenia. Klara pomyślała że zapewnie zdawało jej się tylko iż oczy jego zabłysły gniewem, gdy z powodu odezwania się Atenais postąpił ku księciu; ale znając znów jak umiał panować nad sobą, mogła przypuszczać że i teraz ukrywa doznane wrażenie.

Pragnęła wierzyć że jest zazdrośny i choćby z narażeniem życia widzieć go uniesionego strasznym gniewem, podnoszącego na nią rękę jak owej nieszczęsnej nocy. Nie chcąc dłużej zostawać w niepewności, postanowiła nazajutrz zaraz przedstawić Filipowi prośbę jej brata i zbadać nareszcie tajemne jego myśli. Zdobywszy się na stanowcze postanowienie, chciała być wesołą, odpędzić smutek zasępiający jej czoło, i nadała swej twarzy uśmiechnięty wyraz, jak aktor występujący na scenę aby odegrać swoją rolę.

Zdaleka dochodził jeszcze słaby odgłos wesoło bawiącego się towarzystwa i trąbki Pontac'a, otrębującego śmierć jelenia wcielonego we dwie tak sprzeczne osobistości, w otyłego La Brède i małego Du Tremblays.

XVI.

Filip zabierał się do pracy, w swoim wielkim w surowym stylu urządzonym gabinecie. Biuro jego założone było papierami które przeglądał z kolei. Podpisywał przejrzane i odsuwał na bok. Piekące słońce padało wprost na fasadę pałacu, nareszcie promień jego zaglądający do pokoju osiadł na czole Filipa, przerywając jego pracę. Wstał i zbliżywszy się do okna zapatrzył się w ogród.

W szałasie, po nad wodą, siedziała Zuzanna biało ubrana, zajęta łowieniem ryb. Widać jednak mocno była roztargnioną, bo nie zwracała uwagi na rybę szarpiącą się u haczyka jej wędki. Zapatrzona w przestrzeń, snuła miłe jakieś rojenia, i nieruchoma, z rozpromienioną twarzą, zatonęła w swych marzeniach.

Uśmiech zawitał na usta Filipa; powoli otworzył okno i zwracając się do siostry rzekł do niej:

— Zuziu, rybka chwyciła wędkę.

Dziewczę drgnęło, i zwracając się do brata, zawołała:

— Ach! mój drogi, tak mnie przestraszyłeś!

— Wyciągnij że wędkę! zawołał, już od kilku minut okoń szarpie się przy niej. Nie godzi się biednych tych stworzeń skazywać na cierpienie...

Machinalnie wyciągnęła wędkę na którą złapał się okoń połyskujący jakby srebrem. Odczepiła go ręką pokrytą rękawiczką i wrzuciła do siatkowego worka zanurzonego w wodzie.

— Mam ich dwanaście! zawołała z dumą Zuzanna, pokazując bratu zapełniony worek;

— Dobrze, będzie smaczna potrawa, odrzekł wesoło; ale doprawdy, widać koniecznie chciały się dać złapać.

I patrzył na Zuzannę, która pod jasnym błękitem nieba jaśniejącego słońcem, stojąc w pół cieniu pod szałasem z płótna w ponsowe pasy, wydawała mu się niezwykle różową i świeżą. Widok ukochanej siostry rozrzewnił go bardzo; westchnął i milcząc od ust posłał jej pocałunek; poczem zapuścił roletę i zamknął okno. Chłód i cień roztoczył się w pokoju. Powróciwszy do biurka, miał zasiąść przed niem, gdy wtem usłyszał lekkie zapukanie do drzwi.

— Proszę wejść, rzekł obojętnie.

Drzwi się otworzyły i na progu ich ukazała się Klara zmięszana, zarumieniona, ale ożywiona stanowczem postanowieniem.

— Czy nie przeszkadzam ci? zapytała przybli-

żając się, podczas gdy Filip zdziwiony niewymownie nadspodziewanemi odwiedzinami, grzecznie przysunął jej fotel.

— Bynajmniej, odpowiedział spokojnie, i opierając się o kominek, czekał co powie.

Klara usiadłszy przechyliła głowę na poręcz fotela i chwilkę rozglądała się wokoło. Nigdy dotąd nie była w tym pokoju, przeznaczonym wyłącznie na pracownię Filipa, podobało się jej jego aż do surowości poważne urządzenie. Z przyjemnością przypatrywała się wszystkiemu, rada że nastręcza jej to sposobność odwleczenia rozmowy. Serce biło jej gwałtownie, skronie jakby żelazna ściskała obręcz.

Filip stał ostróżny, bacznie się w nią wpatrując, nareszcie zapytał przerywając milczenie:

— Czy masz jaki interes do mnie?

Klara zwróciła ku niemu głowę i odrzekła z odcieniem smutku w głosie:

— Żyjemy tak odosobnieni i tak mało się widujemy, iż rzeczywiście tylko ważny interes mógł ośmielić mnie do tego że przychodzę ci przeszkadzać.

Filip grzecznie przecząco skinął głową i skłonił się uprzejmie, poczem, jakby ośmielając ją dodał:

— Słucham.

Klara pochyliła głowę, chcąc zebrać myśli. Cała drżała, w ustach jej zasychało. Żadna ważniejsza sprawa nie była nigdy z większym wytaczana niepokojem:

— Chcę mówić z tobą, rzekła nareszcie, o rzeczy nader ważnej, zarówno nas oboje obchodzącej.

— Cóż to takiego?

Klara zwróciła na męża spojrzenie tchnące tak wymowną prośbą, iż powinien był wyciągnąć do niej ramiona; ale przezorny, czekał w milczeniu.

— Najprzód, proszę cię, powiedz mi, wszak masz pewną życzliwość dla Oktawiusza?

— Ależ sądzę, że brat twój nie ma powodu wątpić o tem? odpowiedział zdziwiony.

Była to odpowiedz wymijająca. Klara zmarszczyła lekko brwi.

— A gdyby nastręczała się sposobność dania mu dowodu tej życzliwości?

— Prawdopodobnie nie pominąłbym jej, odpowiedział.

Wszystkie pytania jakie Klara zadawała mężowi, do tego właśnie zmierzały aby skłonić go do podobnego oznajmienia—teraz nie pozostawało już jak oznajmić cel swego przybycia. I nie wahała się teraz, ożywiona gorączką rozpoczętej walki.

— A więc nastręczam ci tę sposobność—ale muszę zapowiedzieć że chodzi o rzecz nader ważną, gdyż nie odnosi się jedynie do mego brata...

— Ileż omówień! przerwał właściciel kuźni... Chcesz więc żądać czegoś nadzwyczaj trudnego do otrzymania?

Klara wpatrzyła się w twarz męża, jak gdyby chcąc dostrzedz najlżejszy ślad wyrazu fizyognomii, poczem rzekła już śmiało:

— Sam osądź; Oktawiusz kocha Zuzannę i upoważnił mnie abym prosiła cię o jej rękę.

Z piersi Filipa wydarł się głuchy okrzyk; twarz posępny przybrała wyraz. Aby ukryć swoje pomięszanie, podszedł do okna i stał chwilę zamyślony, podnosząc lekką storę. Zuzanna nie wiedząca o niczem, siedziała jeszcze nad wodą, zapuściwszy machinalnie wędkę w zwierciadlane wód przezrocza. Filip zapatrzył się w to milutkie, niewinne dziewczę, stworzone do szczęścia.

Miotana niepokojem Klara zbliżyła się do męża pogrążonego w zadumie, zapytując:

— Nic mi nie odpowiadasz?

— Bardzo mi to przykro, przez wzgląd na twego brata, ale małżeństwo to jest niemożebnem.

— Odmawiasz! zawołała z niewysłowionym niepokojem.

— Odmawiam, odrzekł zimno.

— Czemu?

Wpatrując się w żonę jakby chciał aby odpowiedź ta dosięgła w głąb jej serca:

— Dla tego że dzięki twej rodzinie, jedna już osoba z mojej jest bardzo nieszczęśliwa, uznaję więc że dość już tego!

— Zastanów się jednak nad tem, czy raczej nie gotujesz nieszczęścia Zuzanny, nie dozwalając jej zaslubić mego brata, odparła żywo.

— Jakto? zapytał z żywym niepokojem.

— Zuzanna go kocha.

Z ogrodu dochodził dźwięk głosu Zuzanny, która z pomocą Brygidy zabierała swój przyrząd do łowienia i jego plony.

Filip chwilkę nasłuchiwał jej głosu.

— Kocha go! powtórzył nareszcie. Jeźli tak, jest to rzeczywiście wielkie nieszczęście—nie wpłynie jednak na zmianę mego postanowienia. Gdyby w przeddzień naszego ślubu, ktoś był mi wziąść go nie dopuścił, nie zważając jak straszny cios zada memu sercu—jakże nieocenioną wyświadczyłby mi przysługę. Niechże przynajmniej straszne doświadczenie moje nie będzie bezużytecznem. Jeźli siostra moja ma płakać, niech przynajmniej płacze wolna, niech przyszłość jej nie stanie się jak moja, nieodwołalnie straconą.

Dotknięta tak boleśnie, Klara nie zdołała zachować zimnej krwi..

— A! więc to odwetu pragniesz! zawołała gwałtownie.

— Odwetu! odrzekł wyniośle—czyż sądzisz że go szukam, ja!... Nie! jest to tylko ostrożność którą wszystko mi nakazuje.

Klara opadła na fotel; uczuła w słowach męża taką pogardę i taką stanowczość, iż wyrzekając się walki, chciała spróbować prośby.

— Filipie, proszę cię nie odmawiaj mi, niech nie ciąży na mnie odpowiedzialność za nieszczęście tych dwojga dzieci... A! już i tak jestem tak bardzo nieszczęśliwa i znękana... Powiedz co mam czynić aby cię przebłagać... Ciężko zawiniłam względem ciebie, wiem to...

— Filip roześmiał się gorzko.

— A! zawiniłaś ciężko, powtórzył i raczycz to uznać...

Dopieroż to wielkie czynisz mi ustępstwo!...

Klara nie odpowiedziała nic na szyderskie słowa męża, postanowiła sobie nie zrażać się niczem, byle dojść do celu:

— Tak, powtórzyła; wielką wyrządziłam ci krzywdę... ale też ciężko każesz mi pokutować za to...

— Ja!... zawołał; a to jakim sposobem?... Czyż kiedykolwiek ci to wyrzucałem? Czy powiedziałem aby jedno przykre słówko?... Czyż nie otaczałem cię należnemi względami?...

— Nie!... Ale stokroć przekładałabym gniew twój, nad wyniosłą obojętność jaką mi okazujesz. Wszyscy w około unoszą się nad mojem szczęściem, zazdroszczą mi go i winszują gdzie się tylko pokażę... Wracam do domu, i gdzież to szczęście moje?... szukam go daremnie—i w jego miejsce znajduję, samotność, smutek i opuszczenie!...

Filip wyprostował wysoką swoją postać, i patrząc z góry na nieszczęśliwą kobietę, której teraz czuł się panem, rzekł:

— Nie moja w tem wina; wszak sama tego pragnęłaś, sama postanowiłaś jakie życie wieść mamy...

— Prawda, odrzekła złamanym głosem; w każdym razie przynajmniej mam prawo spodziewać się spokoju, a i tego dostąpić nie mogę!...

Wstała, i załamując zaciśnięte dłonie, jakby obłędem owładnięta, wołała:

— Ta nikczemna kobieta, która tak zawzięcie mnie nienawidzi, aż tu dosięga mnie swoim jadem, a ty nietylko znosisz to ale stajesz się jakby narzędziem jej złości... Ona afiszuje cię i kompromituje... i nawet tyle litości nie masz nademną, aby mi dać uniknąć jej dworowania.. Och! ale już przebrało mi się cierpliwości dłużej tak pozostać nie może... ja nie chcę!...

— Nie chcesz? powtórzył Filip.

A gdy rozdrażniona Klara, powtórzyła z uporczywą zaciętością:

— Nie!... nie!... ja nie chcę!...

— Proszę nie zapominaj rzekł surowo właściciel kuźnic, że tu ja jeden tylko mam prawo powiedzieć: Ja tak chcę.

Dumnej kobiecie wszystka krew uderzyła do twarzy. Zapragnęła wybić się z pod przygniatającej ją przewagi, i zaślepiona gniewem, uniesiona zazdrością, krzyknęła:

— Zastanów się!... nie popychaj mnie do ostateczności!... Mogę znosić obojętność twoją, ale nic nie zdoła zniewolić mnie do znoszenia tak obelżywego lekceważenia, tak publicznego opuszczenia!...

Filip stanął przed nią i rzekł wpatrując się z szyderską ciekawością:

— A! jakże słowa te malują cię doskonale!... zawsze jedna i ta sama, zawsze kierująca się jedynie pychą i wyniosłością!... Troszczysz się o to jedynie, co powiedzą otaczające cię osoby—opinia świata—oto wszystko co cię zajmuje... Aby światu nie dać poznać ubliżenia jakiego książę de Bligny niegodnie dopuścił się względem ciebie, jak szalona zapragnęłaś poślubić mnie co prędzej... I dziś także nie mogąc znieść myśli że ktoś może żartować albo szydzić z ciebie, przebierasz wszelką miarę, i zapominasz się do tego stopnia że aż grozić mi pozwalasz sobie.

— O! nie!.. ja nie grożę, przerwała, nie mogąc powstrzymać łez gwałtem cisnących się jej do oczu, ja proszę cię, Filipie. Bądź wspaniałomyślnym... Czyż nigdy nie zaprzestaniesz tak ciężkich ciosów wymierzać w moje biedne serce?... Bądź pewny że dostatecznie jesteś pomszczonym — możesz więc być pobłażliwym.. Jeźli nic zmienić nie chcesz w naszych stosunkach, zapewnij mi przynajmniej spokój, uwolnij mnie od księżnej... i od księcia...

— Ostatnie słowa wypowiedziała cicho, jakby wstydząc się że je wymawia.

— I o cóż się uskarżasz? odrzekł właściciel kuźnic. Czyż i ja nie jestem zmuszony znosić ich obojga... Przecież to krewni twoi... Cóżby powiedział świat którego opinia wszystkiem jest dla ciebie, gdybyśmy tak bez żadnego powodu zamknęli im drzwi naszego domu? Trzeba uzbroić się w cierpliwość i znosić złe nieodstępne od naszego położenia... Życie nie zmienia się i nie nagina do kaprysów zepsutego dziecka — wszystko w niem jest poważne i ważne... Nieszczęście aż nadto łatwo przychodzi samo—nie trzeba biedz naprzeciw niego... Sama przekonałaś się o tem... Strąceni przez ciebie z utartych dróg życia, jesteśmy obowiązani iść naprzód—skoro nie mamy prawa się cofnąć.

— Tak więc niczego oczekiwać, niczego spodziewać się od ciebie nie mogę? zapytała.

— Niczego, odrzekł zimno, i nie zapominaj że sama tego chciałaś.

Klara spojrzała na męża. Twarz jego mocno była zmieniona; oczy zapadły, był bardzo blady; głos tylko był stanowczy i pewny.

Przeszło jej przez myśl żeby upaść mu do nóg, otworzyć serce swoje i wyznać że go kochała; postąpiła ku niemu parę kroków, bezwiednie wyciągnęła ręce, uczuła jakby kamień przygniatający jej piersi, tchu jej brakowało... Powstrzymała jąresztka dumy... Westchnęła ciężko i stała nieruchoma.

Filip zbliżył się do niej.

— Muszę już iść do kuźni, rzekł tak spokojnie jakby nic nie zaszło między nim a kobietą którą tak kochał — wybacz więc że cię opuszczam.

— Cóż mam odpowiedzieć bratu? zapytała nieśmiało.

— Powiedz proszę, iż liczę na prawość jego charakteru, że ani słówka nie powie Zuzannie o mojej odmowie. W przeciągu tygodnia postaram się tak rzeczy pokierować, aby na czas jakiś oddalić ztąd moją siostrę.

I przesuwając się jak cień, skłonił się Klarze obojętnie i wyszedł z gabinetu.

Jeszcze chwil kilka pozostała sama w obszernej komnacie, swobodnie oddając się swej boleści. Zaczęła rozbierać w myśli cały obszar swego nieszczęścia. Tak więc jest ono już nieodwołalnem... Daremnie ukazała Filipowi krwawiącą ranę swego serca—zaledwie roztargnionem rzucił na nią okiem. Jak jej zapowiedział, nie istniała już zupełnie dla niego; dotrzymując przyrzeczenia, pozostał nieubłaganym, nie chcąc przebaczyć jej chwili obłędu!.. Dziś okazała mu chęć zbliżenia — odtrącił ją zimno... Nie dość na tem, wyrzucała sobie że zatruła przyszłość brata. Filip odmówił Oktawiuszowi jej ręki, obawiając się zgubnej gwałtowności ich rodu, której tak fatalny dała mu dowód... I jak tu odważyć się powiedzieć bratu że Filip odrzucił jego prośbę?..

Usłyszawszy w przyległym pokoju głos Zazanny, prędko zerwała się z fotela, nie chcąc żeby siostra męża zastała ją płaczącą w jego gabinecie. Wybiegła śpiesznie zamknąć się w swoim pokoju. Kazała pannie służącej aby oznajmiła że pani jest cierpiąca i nie zejdzie na śniadanie. Około drugiej, widząc że Zuzanna zwróciła się w odległą, zacienioną część parku, zbiegła cicho ze schodów, i wyszedłszy furtką dziedzińca, udała się piechotą do Beaulieu.

Margrabia, oczekujący z niewypowiedzianym niepokojem skutku wstawiennictwa siostry, chodził po tarasie tam i napowrót, będąc pewnym że lada chwila doczeka się spodziewanej od niej wiadomości. Z daleka już dojrzał Klarę, postępującą dość stromą ścieżką prowadzącą do pałacu. Postawa jej smutne na nim zrobiła wrażenie. Pani Derblay szła powoli po pochyłej murawie, z pochylonem czołem, zapominając nawet zasłonić się parasolką, choć miejscami słońce bardzo dopiekało. Chód jej zdradzał pewne pognębienie, zapowiadające niepowodzenie: nie szła bynajmniej wesoło i prędko, jak zwiastunka dobrej wiadomości.

W jednej chwili Oktawiusz dobiegł do Klary—zamienili spojrzenia. Oczy brata wyrażały niepokój i pomięszanie — oczy siostry ponury smutek.

— Boże mój! cóż się stało? wyszeptał Oktawiusz, konwulsyjnym ruchem biorąc siostrę pod rękę i prowadząc do ławeczki stojącej wśród drzew, zkąd prześliczny roztaczał się widok. Woń kwitnących lip silnie oddziałała na rozdrażnione nerwy Klary; drżąca, z oczyma łez pełnemi stała przed bratem słowa wymówić nie mogąc.

— Klaro, przez litość, powiedz co się stało? Mów, mów prędzej, siostro, wolę już wszystko niż to milczenie.

Żywo wzruszona niepokojem brata, Klara wysiłkiem woli zapanowała nad sobą.

— Drogi, biedny mój bracie, nader smutną przynoszę ci odpowiedź, wyszeptała. Twoje ożenienie się z Zuzanną jest niemożebnem!

Oktawiusz cofnął się o krok, jak gdyby ujrzał przepaść otwierającą się pod jego stopami. Nie zrozumiawszy dobrze, orzucił siostrę błędnym wzrokiem, powtarzając;

— Jest niemożebnem?... Jakto?

Klara smutnie wstrząsnęła głową, i odpowiedziała znękana:

— Filip odmówił zezwolenia.

— Z jakiegoż powodu? zapytał smutnie margrabia.

Klara milczała zakłopotana. Cóż mogła odpowiedzieć bratu? Miałaż wyjawić mu tajemnicę smutnego swego życia?... Jaki wymyślić pozór usprawiedliwiający lub przynajmniej tłómaczący odmowę Filipa?... A Oktawiusz tak badawczo się w nią wpatrywał, pragnąc prawdę wyczytać z jej twarzy.

— Nie dał żadnego powodu, wyszeptała rumieniąc się ze wstydu, odmówił wytłomaczenia.

— Odmówił bez powodu? i nie dał wytłomaczenia? zawołał zadziwiony margrabia, on, Filip, którego pokochałem jak brata!... I nie wahał się tak straszną zadać mi boleść?...

Wzruszony niewymownie, Oktawiusz otarł łzy cisnące mu się do oczu, i rzuciwszy się na ławkę zaczął rozmyślać z natężonym umysłem jaki mógł być ów powód odmowy Filipa, którego nie chciał objawić; długo myślał zrozpaczony — daremnie — odgadnąć go nie mógł. Nagle ostry krzyk wydarł się z jego piersi — myśl pewne rzucająca światło, powstała w jego umyśle.

Chodzi o pieniądze!... tak, nie może być nic innego!... Nie miał majątku ani stanowiska! Tak, jest to niezawodnie powód dla którego Filip odmawia mu ręki Zuzanny.—Zerwał się z ławki.

Klara patrzyła na niego z niewymownym niepokojem. Oktawiusz postąpił kilka kroków i mówił głośno odpowiadając myśli swojej, sam nie wiedząc o tem; mówił z czołem rozpromien ionem ufnością w siebie i zapałem:

— Nie mam stanowiska — tak — ale go sobie stworzę... Nie mam majątku — alež Filip wie że pracą dojść do niego można... Zrobię jak on...

I nagle zatrzymał się zdumiony, prawie przerażony. Klara zerwała się silnie chwytając go za rękę. Z tych słów brata uderzyły ją te tylko wyrazy: Nie mam majątku! — i straszny zbudziły w niej niepokój. Zapominając o wszystkich swoich troskach i smutkach, zapragnęła gorąco aby Oktawiusz je wytłomaczył.

— Nie masz majątku? powtórzyła.

I rozkazującym, groźnym niemal ruchem, domagała się odpowiedzi. Oktawiusz mocno zmięszany i zakłopotany, milczał nie wiedząc co odpowiedzieć, ale Klara nie myślała ustąpić. Domyślając się jakiejś tajemnicy którą poznać powinna, uchwyciła go za rękę z przerażającą gwałtownością i wlepiwszy w niego oczy, zawołała:

— Co chciałeś powiedzieć?

— Uniesiony żalem, wypowiedziałem słowa, których nigdy słyszeć nie miałaś... Nie wiedziałaś nic żeśmy przegrali proces i miało to na zawsze pozostać dla ciebie tajemnicą... I ja, nierozważny, wymówiłem się z tem wbrew mego przyrzeczenia!...

Klara nie słuchała zamyśliwszy się głęboko. Przegranie tego procesu — to ruina dla nich; brat nie miał majątku, ona posagu. Straszna wątpliwość zbudziła się w jej umyśle; zadrżała, oczy ogromnie się roztwarły, i zwracając się do brata:

— Czy jak szłam za mąż?... nie była w stanie dokończyć pytania.

— Proces był już przegrany, odpowiedział.

— A mąż mój... Filip?... czy wiedział o tem?...

— Wiedział, i zabronił nam najsurowiej zawiadomić cię o tem .. nie chciał aby najlżejszy cień zasępiał twe czoło. Jak zwykle tak i w tej okoliczności, Filip postąpił z niewysłowioną szlachetnością i delikatnością...

Przejmujący krzyk wydarł się z piersi Klary; zaczęła machać rękami w powietrzu jak obłąkana, wołając przerywanym głosem:

— On tak szlachetny!... a ja!... ja!... jakże niegodnie postąpiłam!...

I nagle stanął jej przed oczami pokój z gobelinowem obiciem, na którem wojownicy uśmiechali się milcząco do bogiń, tak jak go widziała wieczorem w dzień ślubu, i wielki ogień płonący na kominku, o który stała oparta. I widziała Filipa bladego i drżącego, jak prawie do nóg jej się rzucił a następnie dumnie podniósł głowę, gdy rzuciła mu te słowa: Weź mój majątek!... jej majątek!... Jakże pogardliwie się roześmiał! o! teraz rozumiała dla czego... W uniesieniu rozpaczy, wyznanie strasznej upokorzającej prawdy gwałtem cisnęło się jej do ust — musiała powiedzieć prawdę, oskarżyć się o tak ciężką winę. Prawie bezprzytomna, ogarnięta szałem, nie mogąc ukarać duszy, chciałaby poszarpać ciało swoje aby je przynajmniej skarcić.

— Ach! ja nieszczęsna! wyszeptała, skłamałam przed chwilą, mówiąc że nie wiem dla czego Filip odmówił ci ręki siostry... to z mojej przyczyny... to ja, niegodne stworzenie, unieszczęśliwiam każdego co się do mnie zbliży!...

I jednym tchem wyspowiadała się bratu, nic nie ukrywając, nie zmniejszając swej winy, przedstawiając całe swe oburzające postąpienie.

— A on, mówiła dalej, tak dumny, szlachetny, bezinteresowny, tak dobry że oszczędził mnie nawet w uniesieniu gniewu... a jednem słowem mógł mnie upokorzyć i zdruzgotać... jednak nie uczynił tego!... A ja! ja! byłam głuchą na jego prośby, nieczułą jak głaz na łzy jego!... Nie rozumiałam jak wielka i głęboka miłość kryje się w jego sercu!...

I przeistoczona boleścią promieniejąca namiętnem uczuciem, zawołała.

— Gdybyś nie powiedział tego, życie, moje na zawsze pozostałoby złamanem i zwichniętem!... i przypadkiem tylko powiedziałeś mi prawdę... O! bądź za nią błogosławiony!...

Zarzuciła bratu ręce na szyję, i zaczęła ściskać go i całować, w uniesieniu do szału posuniętej wdzięczności. Słowa tak długo powstrzymywane, potokiem z ust jej płynęły.

(D. c. n.)



N. 1. Kapelusik dla dziewczynki.



N. 5. Suknia z vêtement. N. 6. Ubranie wizytowe.



N 2. Kapotka dla dziewczynki.

Opis do N. 49.

(Dokończenie).

N. 8—9. Wachlarz czworokątny.

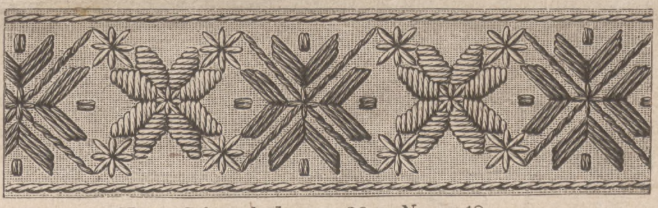


N. 3. Kołnierz chusteczkowy z koronki.

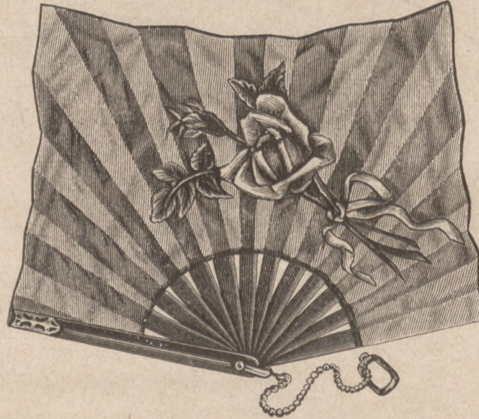
Ryc. 8 i 9 przedstawiają otwarty i złożony wachlarz, nowomodną formą, 29 cent. długi a 40 szeroki. Oprawa z czarnego drzewa z okuciem i łańcuszkiem metalowym; pokrycie z jednej strony stanowił oliwkowo-zielony atłas, z drugiej czarna materya; przyozdobienie stanowiła gałązka róży, malowana ręcznie.

N. 10. Suknia z krótkim stanikiem z baskiną.

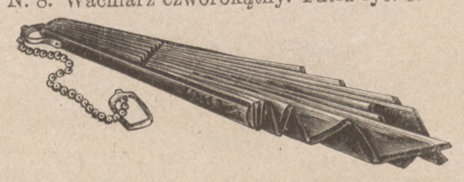
Uszyta z materyału wełnianego w kratę zieloną z szafirową, ma przy krótkim staniku dany plastron



N. 7. Szlaczek do ryc. 20 w N-rze 48.



N. 8. Wachlarz czworokątny. Patrz ryc. 9.



N. 9. Wachlarz czworokątny. Patrz ryc. 8.

z szafirowego aksamitu przewiązany kokardami z atłasowej wstążki; z boków plastronu dany ranwers z tego co suknia materyału u góry 5 cent. szeroki, do dołu stopniowo zwężony a z tyłu stanowiący kołnierz wykładany. Mankiety aksamitne przepięte kokardami. Dolny brzeg stanika przykryty draperyą, dopełnioną z tyłu prostym brytem. U dołu spódnicy dany wolant aksamitny 30 cent. szeroki i wełniany 52 cent.

N. 11. Suknia z bawetowym stanikiem.

Stanik z przodu i z tyłu przedłużony w długi bawet, z boków na biodrach jest krótko

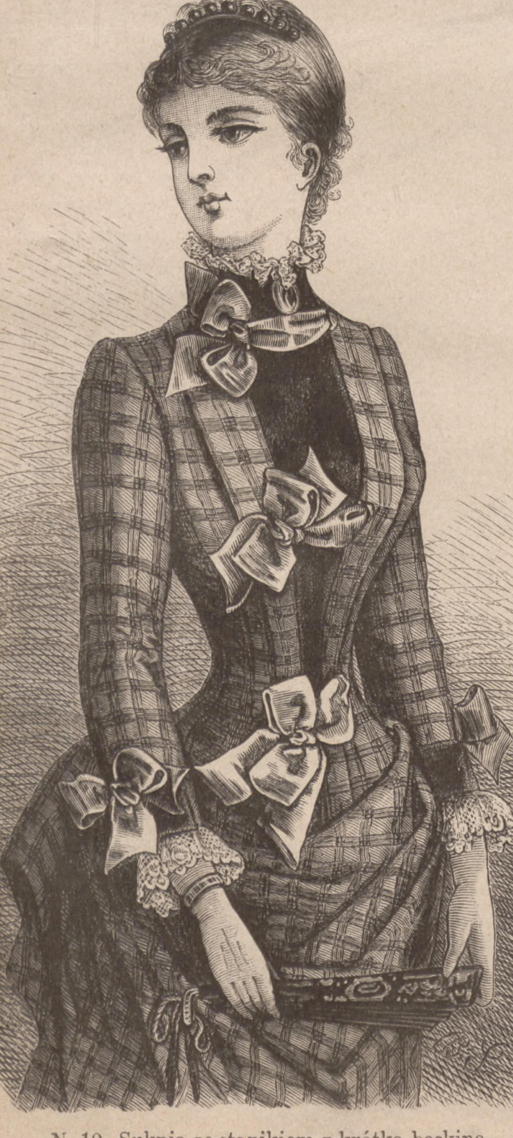


N. 4. Kołnierz koronkowy z żabotem.

podcięty; zapięcie dane z boku na kryte haftki przy plisowanym plastronie, danym z atłasu tego co suknia lub odmiennego koloru; guziczki przyszyte tylko dla ozdoby. Wykrój szyi dopełniony stojącym kołnierzem, podgarnirowanym riuszą koronkową i z wierzchu otoczonym szeroką koronką. Panier lekko odstające, przyszyte wprost na sukni; z tyłu upięcie z prostego bryta. Spódnica plisowana u dołu ogarnirowana riuszą.

N. 12—15. Kołnierzyki wykładane i mankiety.

Na ryc. 12—13 widzimy kołnierzyk i mankiet z koronki wszytej w prosty stojący pasek, wyłożonej gładko i podwleczonej kolorową wstążką związaną w kokardę. Ryc. 14 przedstawia wykładany płócienny kołnierzyk, ozdobiony zlacz-



N. 10. Suknia ze stanikiem z krótką baskiną.

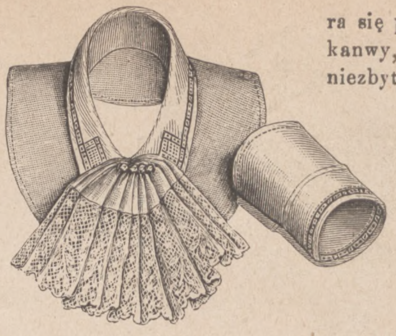


N. 11. Suknia z bawetowym stanikiem.

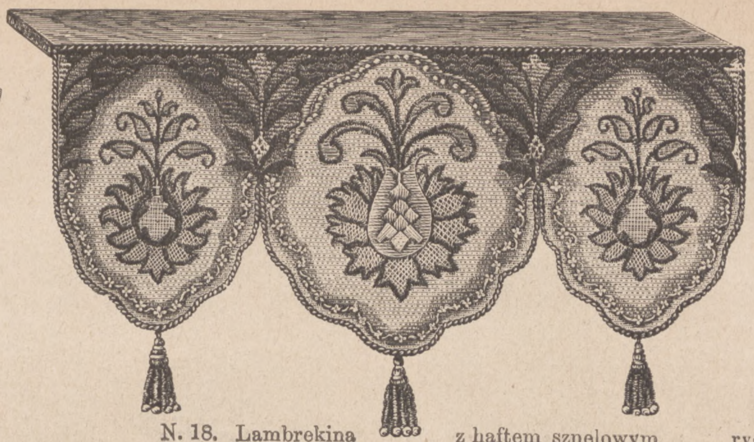
kiem z kratki ażurowej; żabot ułożony z kawałka muślinu 30 cent. szerokiego, 40 długiego, oszytego koronką 6 cent. szeroką i zaplisowanego plasko, podług ryc.



N. 12—13. Kołnierzyk koronkowy wykładany i mankiet.



N. 14—15. Kołnierzyk wykładany z żabotem i mankiet.



N. 18. Lambrekina z haftem sznelowym. Patrz ryc. 19—26.

N. 16. Kapelusz wyszyty sutaszem.

Kapotka z ciemno zielonego aksamitu, ma boki główki wyszyte złotym sutaszem w deseń 6 cent. szeroki; rondko pokryte jest riuszą aksamitną, przypinaną złotemi szpilkami, Z lewego boku przypięte duże fantazyjne ciemno ponsowe pióro; końce do wiązania z zielonej wstążki repsowej 8 c. szerokiej.



N. 16. Kapotka wyszyta sutaszem.

N. 17. Kapelusz z rondkiem odwiniętem.

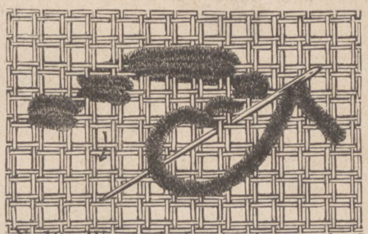
Fasonik pokryty ciemno bronzowym aksamitem przybrany jest skosem pluszowym 20 cent. szerokim, wstążką i piórami bronzowemi.



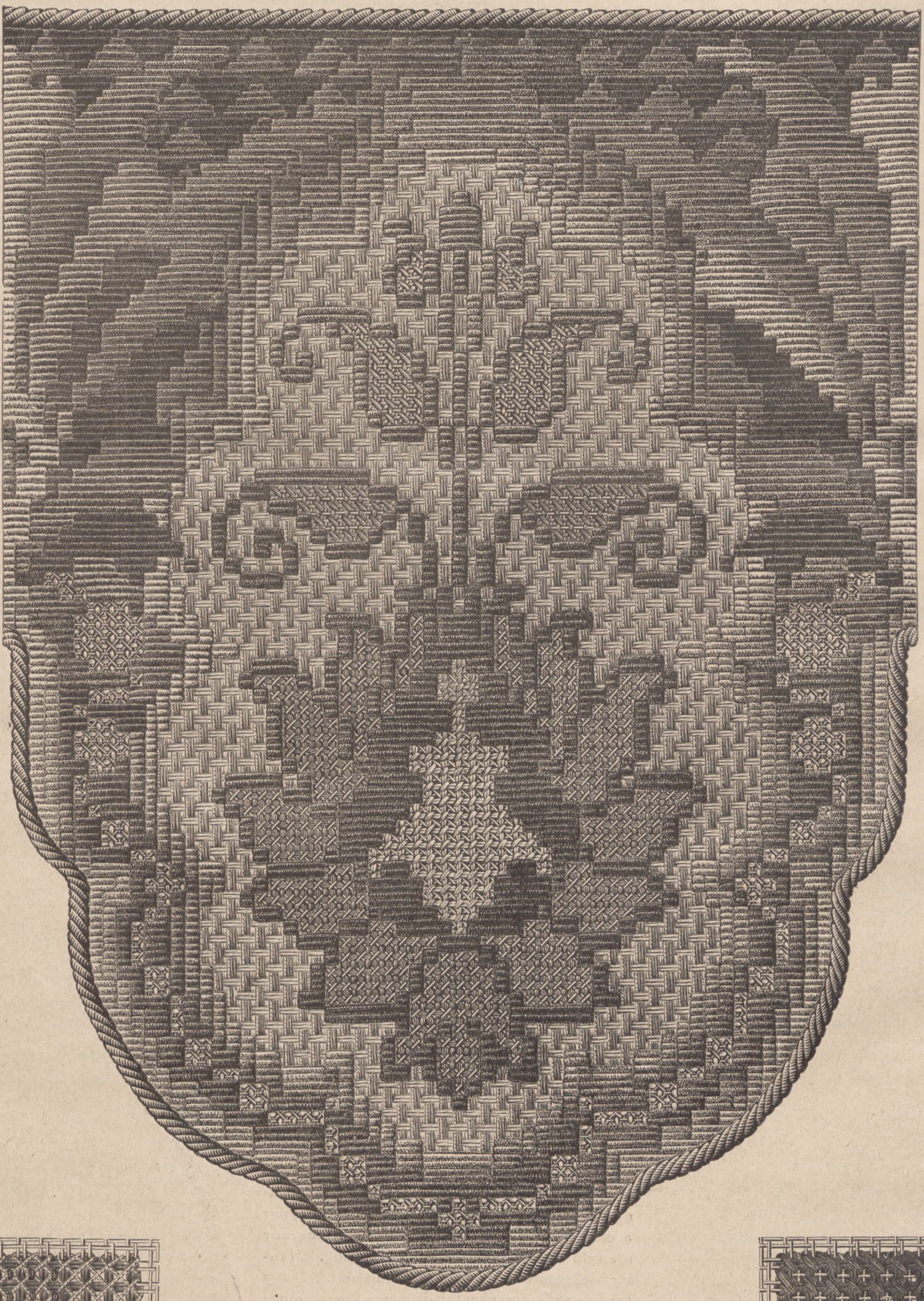
N. 17. Kapotka z wywiniętem rondkiem.

N. 18—26. Lambrekina haftowana sznelą.

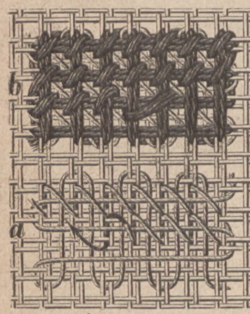
Do bardzo efektownego haftu wchodzi pró z szneli kolorowa filozela i nitka złota i srebrna; rozmaite rodzaje ściegów użyte do zapełnienia różnych części deseniu dajemy na r. 21—26. Rycina 20 daje ząb boczny lambrekiny, oszytej grubym sznurem i zakończonej kwastami szneloweml. Haft robi się w krosienkach na kanwie średniej grubości, dzielonej w kratę. Ściegi sznelowe wszystkie idą w kierunku poprzecznym; dwie nitki sznelowe przykrywają jeden krzyżyk kanwy, długość nitek stosuje się do deseniu. Grubość szneli dobiera się podług grubości kanwy, nitki tną się niezbyt długie gdyż sznela wyciera się przewłóczeniem; końce nitek trzeba zamocować z lewej strony desenu, ryc. 19 wskazuje wyszycie sznelą. W ściegach zapełniających deseń, widzimy różne rodzaje kratki złotej lub srebrnej, odbijjącej efektownie od tła zasnutego filozelą albo też jak w ściegu ryc. 21 spód (a) zasnuty jest nitką srebrną a zwierzchnia kratka dana z jedwabiu; krzyżowanie długich nitek i przytwierdzenie ich półkrzyżykami, widzimy dokładnie na wzorze. Ścieg kratkowany jaki widzimy na ryc. 22 składa się z kratki z długich nitek czepianych tylko w końcach za nitki kanwy, litera *a* wskazuje zasnucie nitką złotą a podług *b* wywodzi sie jedwabiem kolorowym. Na ryc. 20 brzeżna rama deseniu wyszyta sześcioma cieniami szneli kamiennego koloru, na ścieg kratkowany użyta nitka złota i jedwab niebieski; tło deseniu zasnute bladym żółtawo drzewnym jedwabiem i nitką srebrną. Figura środkowa wyszyta trzema cienia·



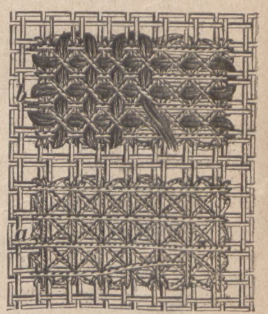
N. 19. Wyszycie konturów sznelą do ryc. 20.



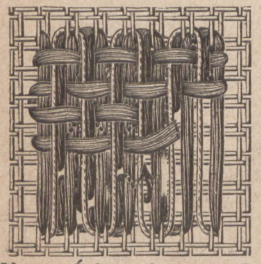
N. 20. Ząb do lambrekiny ryc. 18. Haft sznelą. Patrz ryc. 21—26.



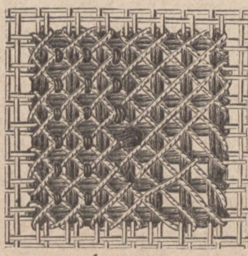
N. 21. Ścieg wiązany półkrzyżykami do ryc. 20.



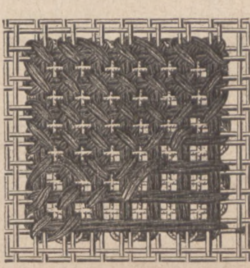
N. 22. Ścieg kratkowany do ryc. 20.



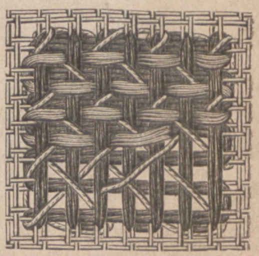
N. 23. Ścieg pleciony do ryc. 20.



N. 24. Ścieg siatkowy do ryc. 20.

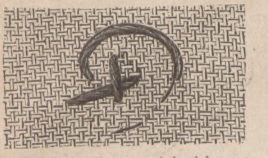


N. 25. Ścieg krzyżowy do ryc. 20.

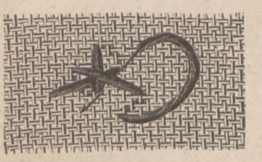


N. 26. Ścieg przeplatany do ryc. 20.

mi ciemno ponsowej szneli i zapełniona wyszyciem blado niebieskiem. Górne zakończenie dane z dwóch cieniów jasno ponsowych, zasnute wśrodku jasnym jedwabiem i srebrną nitką.



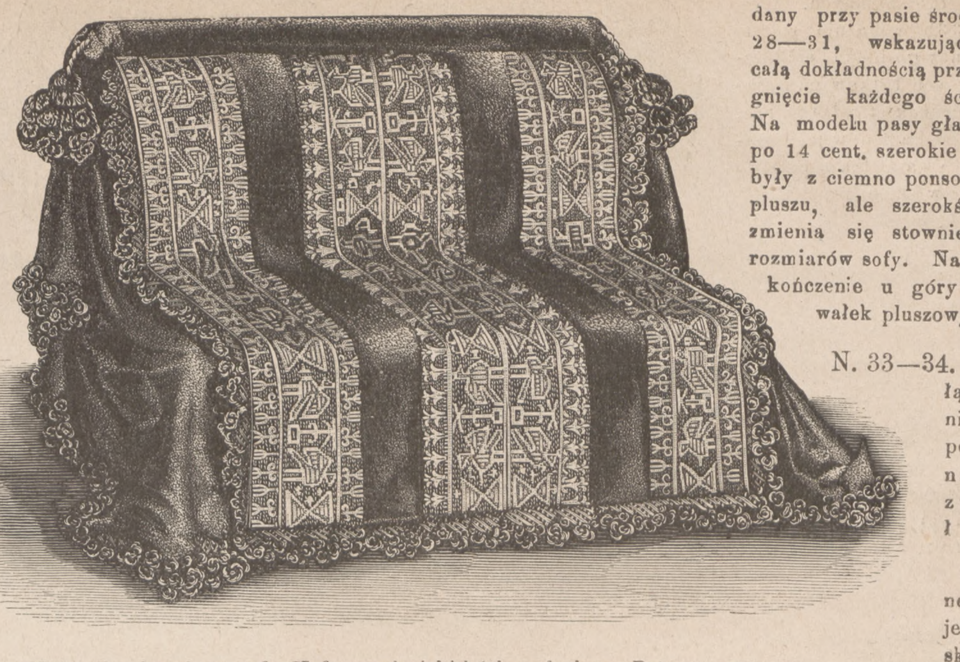
N. 28. Dwa pierwsze ściegi i przewleczenie trzeciego na wązki szlaczek do ryc. 32.



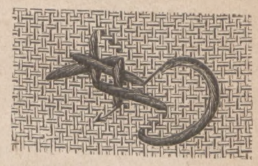
N. 29. Trzy ściegi i przewleczenie czwartego. Patrz ryc. 28—32

N. 27–32. Przykrycie na sofę. Haft marokański.

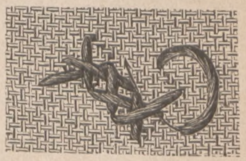
Na ryc. 27 widzimy przykrycie na małą sofę z wysokiem tylnem wysłaniem składające się z pasów aksamitnych i haftowanych. Część deseniu daliśmy w naturalnej wielkości na ryc. 32; haft wyszyty ściegiem plecionym, który opisywaliśmy w przeszłym roku, pelą na tle płóciennem; kontury obwiedzione zielonym jedwabiem a tło zasnute ponsowym. Wąziutki brzeżek dany przy pasie środkowym wyszywa się podług ryc. 28—31, wskazującej z całą dokładnością przeciągnięcie każdego ściegu. Na modelu pasy gładkie, po 14 cent. szerokie dane były z ciemno ponsowego pluszu, ale szerokść ta zmienia się stownie do rozmiarów sofy. Na zakończenie u góry dany wałek pluszowy.



N. 27. Przykrycie na sofę. Haft marokański i ścieg pleciony. Patrz ryc. 28—32.



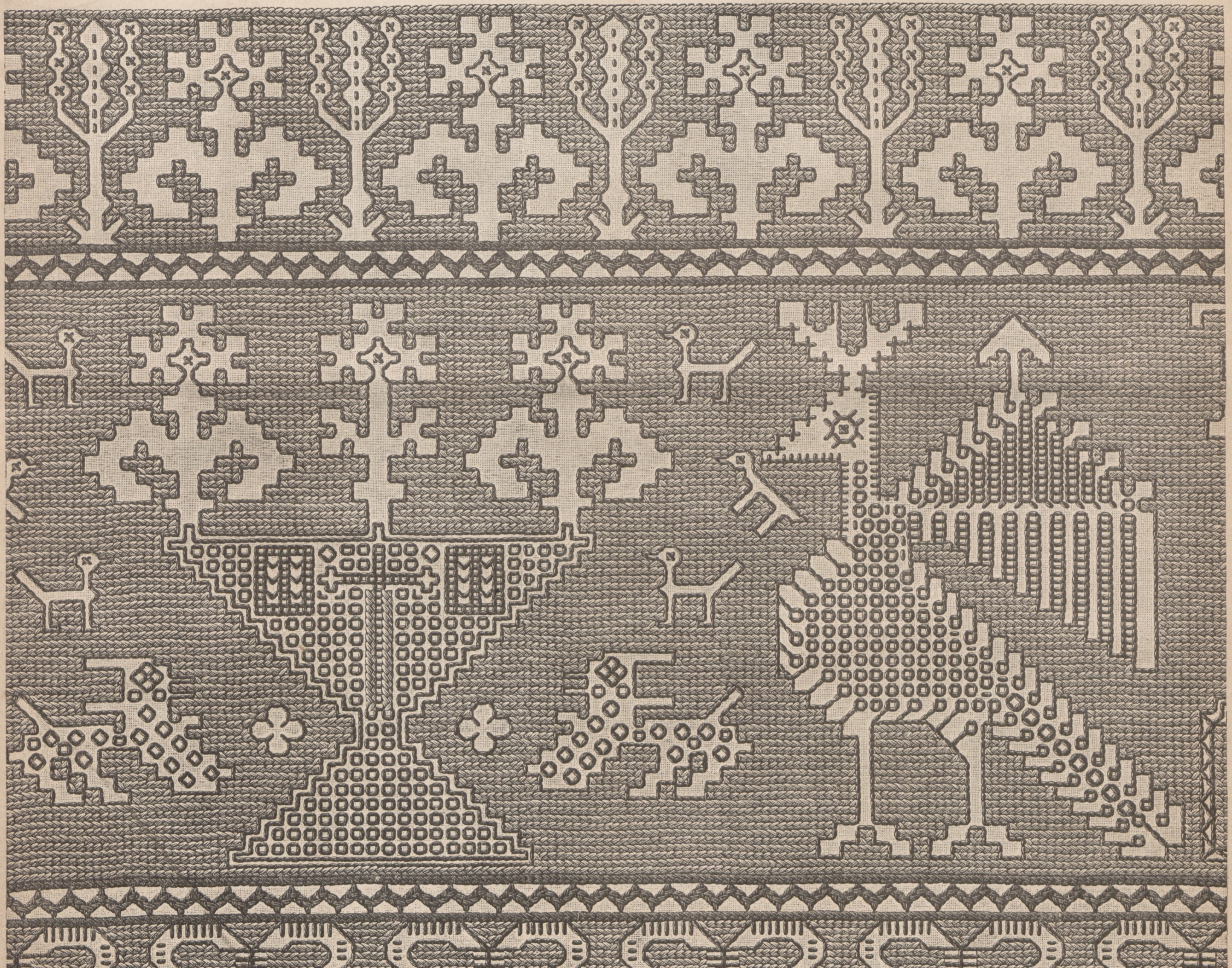
N. 30. Przewleczenie szóstego ściegu. Patrz ryc. 28—32.



N. 31. Ósmy ścieg w wązkim szlaczku w ząbki na ryc. 32.

N. 33—34. Gałązka niezapominajek z perełek.

Ryc. 34 przedstawia w naturalnej wielkości gałązkę niezapominajek odrobionych z perełek niebieskich, ale można je zrobić z perełek



N. 32. Pas haftowany ściegiem marokańskim i plecionym, do ryc. 27. Patrz ryc. 28—31.



N. 33a i 33b. Wykonanie listka i kwiatka z perełek do ryc. 34.

srebrnych, złotych, stalowych lub szklanych. Ryc. 33a i 33b wskazuje robotę pojedynczego listka i złożenie czterech listków na kwiatek; kierunek strzałki na ryc. 33a wskazuje w jaki sposób dwa kółka z perełek stanowiące listek, zapełniają się w środku czterema perełkami i zamocowują u góry. Po złączeniu czterech listków (jak na ryc. 33 b) dodaje się środeczek z białych perełek; druciki stanowiące ogonki owijają się zieloną pelą. Taki bukiecik przypięty do głowy dajemy na r. 36.



N. 35—36. Kołnierz chusteczkowy; do ryc. 9 w N. 48.

N. 37. Sukieneczka w zakładki dla dziewczynki.

Może być uszyta z każdego miększego wełnianego materyału, na gładko dopasowanej podszewce; model z blado niebieskiego kaszmiru miał przody i plecy zastębnowane w zakładki 1 cent. szerokie, do dołu nie przeszyte na 14 c. wzdłuż. Spódniczka fałdowana przyszywa się od spodu do podszewki; wykrój szyi oszyty falbaneczką przewiązaną sznurem; takiż gruby sznur zamiast paska. Guziczki stalowe.



N. 37. Sukieneczka w zakładki, dla dziewczynki.

N. 38. Ubranie dla chłopczyka.

Oryginalną tę sukienkę podaliśmy poprzednio na ryc. kolorowej dołączonej p y N-rze 46, skład się ona z fałdowanej spódniczki i długiego ka anika z granatowego wełnianego materyału, z pod którego wygląda bluza z jasnego materyału, podobnego do flanelki. Spódniczka 16 cent. długa a 210 c. szeroka przyszywa się do gładkiego perkalowego staniczka, stanowiącego zarazem podszewkę pod bluzę. Kaftaniczek szeroko otwierający się z przodu, ma guziczki naszyte tylko dla ozdoby, szwy boczne i tylny nie dochodzą do dołu przez co tworzą się klapki, przy których również naszyte guziczki. Szeroki kołnierz i mankiety są z tego co bluza materyału kilkakrotnie brzegiem zatębnowane.



N. 39. Suknia ze stanikiem z baskiną, dla panienki lat 12—15.

N. 40. Sukienka z paletocikowym stanikiem, dla panienki lat 7—9.



N. 38. Ubranie dla chłopca.

N. 39. Sukienka ze stanikiem z baskiną, dla panienki lat 12—15.

Uszyta z niebieskiego kaszmiru, ozdobiona jest wązką białą wełnianą pletnią; na spódnicy dany wolant 60 cent. szeroki, układany w potrójne kontrafałdy i naszyty u dołu pletnią. Tunika upięta z bryta 148 cent. długiego, 70 szerokiego, z boków przemarszczonego do 30 cent. a z tyłu podpiętego w bufę. Stanik z boku zapinany, z baskiną 15 c. szeroką, tworzącą z tyłu klapki, naszytą trzy razy pletnią; kołnierzyk stojący.

N. 40. Sukienka z paletocikowym stanikiem, dla dziewczynki lat 7—9.

Bardzo długi paletocikowy stanik o jednej zaszewce w przodach szeroko otwartych, dopełniony jest plastronem przyszytym z lewego boku do stanika a z prawej strony zapinanym na kryte haftki. Plastron ten z guzikami odznaczającemi tylko zapięcie środkiem przodu, jest zastębnowany w zakładki na 36 c. wzdłuż, niżej na szerokość 4 c. jest kilkakrotnie przemarszczony, a u dołu spada na bufę 11 cent. szeroką. Kieszonki boczne są 13 c. szerokie a 9 długie; w około paletocika, na kieszonkach, rękawach i stojącym kołnierzyku dane wyszycie sutaszem. Na spódniczce dwie falbanki 12 i 14 cent. szerokie, przemarszczane kilkakrotnie u góry.



N. 34. Bukiecik niezapominajek z perełek. Patrz ryc. 33.



N. 41. Kapelusz filcowy.



N 42. Kapelusz aksamitny